TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

Nr. 9. Rok I. Nowy Jork, 7 marca — New York, N. Y., March 7, 1943 Cena 10ct.

JAN LECHOŃ

GAWĘDA O STARZYŃSKIM



Stefan Starzyński

W połowie maja 1939 roku przyszedłszy po południu do mego biura do Ambasady w Paryżu, dowiedziałem się, że mam iść do domu i zapakować do dwu walizek to, co mam najniezbędniejszego, gdyż prawdopodobnie za parę godzin opuścimy miasto: my prawdopodobnie, a panie, pracujące w ambasadzie i żony urzędników — napewno. Był to ów sławny dzień, kiedy, jak się później okazało, Niemcy, przerwawszy front zapuścili się kilkoma tankami bardzo niedaleko pod Paryż. Gamelin zatelefonował, że trzeba Paryż zaraz ewakuować i w chwili gdy, zgodnie z otrzymanemi poleceniami, pakowałem moje dwie walizki, po drugiej stronie Esplanady, z okien na Quai d'Orsay, stosy raportów, pisanych najwspanialszą francuzczyzną przez najbardziej wyrafinowanych dyplomatów leciały na stos, ustawiony na podwórzu, na którym miały spłonąć. Przybiegłszy do mego mieszkania, mając właściwie parę minut na zlikwidowania całego dziesięcioletniego pobytu w Paryżu, musiałem dokonać wyboru, jaki raz w życiu tylko człowiekowi przychodzi zrobić, który podawany jest zwykle w anegdotach jako przykład decyzji najtrudniejszej do powzięcia. W tej jednej chwili, w tem sięgnięciu ręką po ten a nie inny drobiazg, świstek papieru, miałem zrobić wybór jedyny i ostateczny; jak westchnienie w chwili śmierci miał ten gest być opowiedzenem się za tem, co mi było naprawdę najdroższe. W zwykłej chwili życia, gdy ku tylu skłaniamy się przyzwyczajeniom, gdy tyloma jest się rozbieżnemi uczuciami związanym z życiem, trudnoby uwierzyć, że taki wybór decydujący dokonać się może odrazu bez wahań, że każdy z nas ma naprawdę coś najdroższego dla czego wszystko inne poświęci. I otóż tego pamiętnego popołudnia, wziąłem z biurka dwie fotografje, ze ściany oprawny stary dyplom wojskowy mego dziadka, który był podporucznikiem 1-go pułku piechoty linjowej w powstaniu 1830, z półki leżące zawsze na honorowem miejscu — pierwsze wydanie "Pana Tadeusza" wreszcie wąski pasek pergaminu, zapisany pięknem pismem, ozdobiony winietami i stwierdzający żartobliwym, staropolskim stylem, że w dzień Ś-go Dezyderego Anno Domini 1938 byłem podejmowany w Warszawie śniadaniem przez "Imći Pana Stefana Starzyńskiego, miasta stołecznego Warszawy Prezydenta". Oto co chciałem mieć ze sobą zawsze, do ostatniej chwili, która wtedy wydawała mi się jakże niedaleka: dwie tylko bowiem naówczas widziałem możliwości: opór Francji tak heroiczny jak obrona Warszawy i jeszcze od niej krwawszy; w takim razie rząd francuski, którego losy dzieliłaby Ambasada byłby rezydował w jakichś piwnicach na granicy hiszpańskiej, drugie to było to, o czem nie śmiało się myśleć: kapitulacja a z nią koniec wszystkiego. Jak to najczęściej bywa, to, co tego popołudnia wydawało się beznadziejne, nazajutrz zwykłem prawem odprężenia wyglądało mniej groźnie.

Pragnąc się łudzić do końca, uwierzono, że niebezpieczeństwo już jest zażegnane, gdy ono tylko odstąpiło na dni parę i po miesiącu miało powrócić z o ileż większą siłą, tym razem już jako forpoczta ostatecznej klęski.

W połowie czerwca musiałem wyjechać niemal nagle nocą z temi wciąż dwoma walizkami, z których jedna zginęła mi po drodze, szczęśliwie nie ta w której były moje pamiątki. I tak oto dwie fotografje, pierwsze wydanie "Pana Tadeusza", stan służby mego dziadka i żartobliwe "menu" śniadania, na które mnie prosił Stefan Starzyński jest to wszystko, co wywiozłem ze sobą z Europy. Kiedy dziś patrzę na ten jak opiewa tekst, "rejestr potraw strzemiennej uczty" myślę, że jest on największem odznaczeniem, jakie mnie kiedykolwiek spotkało, że jeśli najgorętszą myślą zawsze dotrzymywałem wierności mej rodzinnej Warszawie, jeśli o każdej chwili życia czułem szczęście i dumę, że jestem Polakiem i starałem się wyrażać to jak umiałem najlepiej — to ów "regestr potraw", pamiątka chwil spędzonych ze Stefanem Starzyńskim, zaufania, jakim mnie darzył, jego marzeń, które mi zwierzał o wielkości Warszawy — będzie mi nazawsze najdroższem, najcenniejszem poświadczeniem tej służby. I jestem dumny, że ów skrawek pergaminu, — ceniłem nad inne pamiątki wtedy kiedy jeszcze Stefan Starzyński nie był największym polskim bohaterem współczesnym, pierwszym w świecie wielkim bohaterem tej wojny, że za nim jeszcz okazał swą historyczną wielkość, jego wspaniała, jedyna w Polsce na tę miarę, renesansowa twórczość budowniczego i zarządcy była dla mnie źródłem zachwytu i podziwu. Warszawiak, urodzony w najbardziej warszawskiej dzielnicy, w pałacu Teppera na Miodowej, tym samym, w którym mieszkała Narcyza Żmichowska i w którym spędził parę lat dziecinnych Boy-Żeleński, (wnuk właścicieli tego domu Grabowskich) zamieszkały przez trzynaście lat w najstarszej kamienicy warszawskiej na Nowem Mieście, której fundamenty pamiętały jeszcze książąt Mazowieckich, w mieszkaniu w którem mieszkał i z którego został wzięty do więzienia Łukasiński, miałem zawsze z moim rodzinnem miastem porachunki sercowe: czułem względem niego albo miłość albo ciężkie i jak to bywa w miłości, niesprawiedliwe żale. To, że pisałem wiersze, że musiałem pisać wiersze zawdzięczałem oczywiście wielkim poetom ale także parkom i ulicom Warszawy. Łazienki zawsze były i nigdy nie przestały być dla mnie zaczarowanym ogrodem, w którym spodziewałem się spotkać duchy z "Nocy listopadowej", na Długiej koło Freta przypominałem sobie, że mieszkali tam akurat nawprost siebie Lelewel i Mochnacki, na Starem Mieście szukałem postaci z Or-Ota i Przyborowskiego, na Krakowskiem panów mecenasów z Prusa; jakże banalne i smutne przecznice Marszałkowskiej były mi zawsze drogie przez to, że tędy właśnie mogli chodzić bladzi bohaterowie Żeromskiego. Kościoły warszawskie, które wszystkie znałem z corocznych spacerów "na groby," ciemne bramy kamienic, rozbrzmiewające plotkami służących, na Zielone Świątki umajone tatarakiem, stróże, lodziarze, piaskarze, ostrzyciele noży szarmanccy fryzjerzy, gazeciarze jedyni na świecie, czcigodna solenność "Kurjera Warszawskiego" i brukowy polot "Porannia ka", Ludowa, Marcello, Rapacki, Kamiński, Frenkiel, filary teatru Wielkiego i woń wa-

Ciąg dalszy na stronie 2-ej

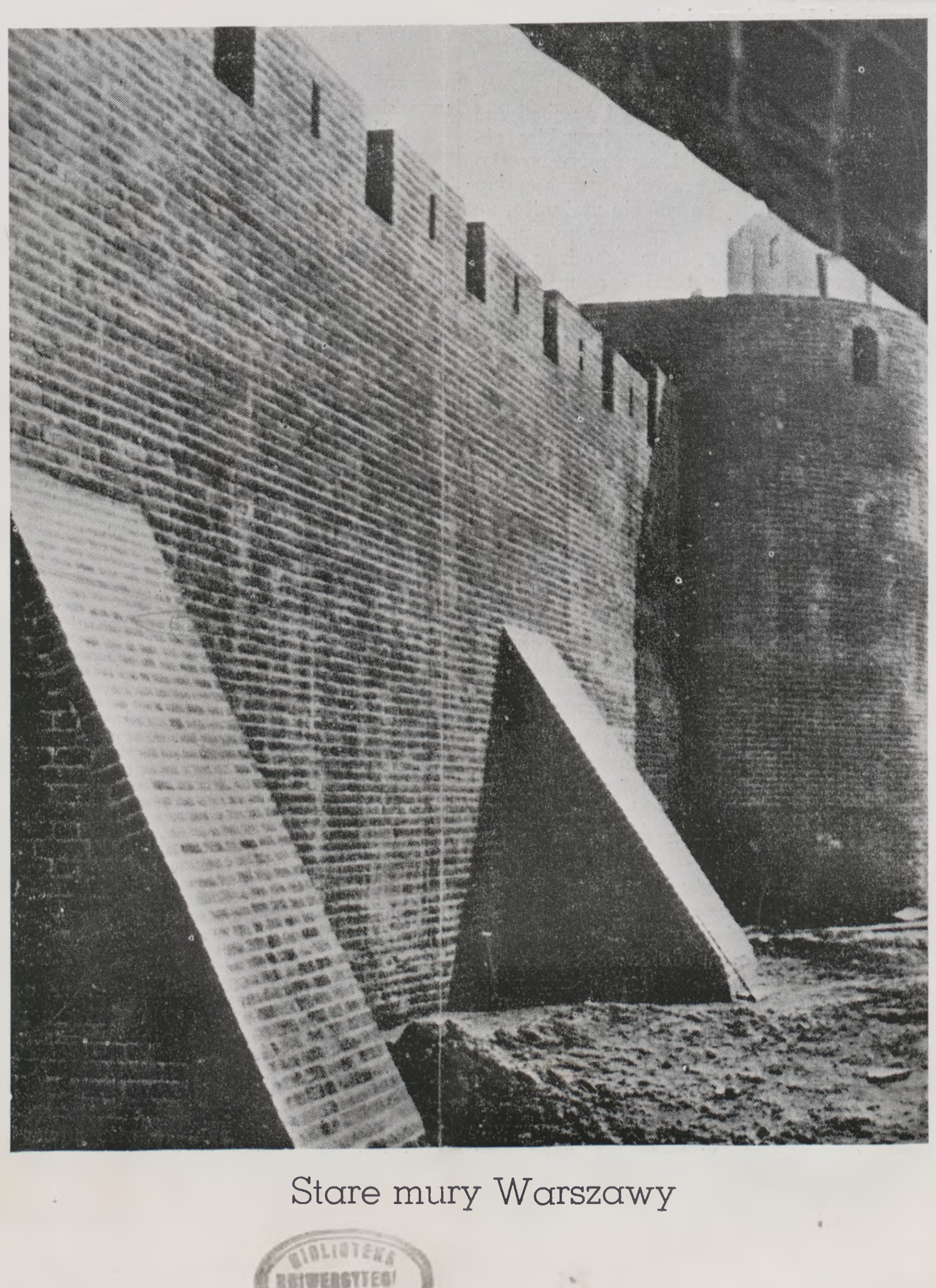
Adam Mickiewicz

Z „PRZEGLĄDU WOJSKA"

Tak się car każdy do tronu sposobił;
Stąd ich Europa boi się i chwali.
Słusznie z Krasickim starzy powiadali:
"Mądry przegadał, ale głupi pobił".
Piotra Wielkiego niechaj pamięć żyje!
Pierwszy on odkrył tę Caropedyję.
Piotr wskazał carom do wielkości drogę:
Widział on mądre Europy narody
I rzekł: "Rosyę zeuropejczyć mogę:
Obetnę suknie i ogolę brody".
Rzekł — i wnet poły bojarów, kniazików
Ścięto, jak szpaler francuskiego sadu!
Rzekł — i wnet brody kupców i mużyków
Sypią się chmurą, jak liście od gradu.
Piotr zaprowadził bębny i bagnety,
Postawił turmy, urządził kadety,
Kazał na dworze tańczyć menuety,
I do towarzystw gwałtem wwiódł kobiety,
I na granicach poosadzał straże,
I łańcuchami pozamykał porty;
Utworzył senat, szpiegi, dygnitarze,
Odkupy wódek, czyny i paszporty —
Ogolił, umył i ustroił chłopa,
Dał mu broń w ręce, kieszeń narublował —
I zadziwiona krzyknęła Europa:
"Car Piotr Rosyę ucywilizował!"
Zostało tylko dla następnych carów:
Przylewać kłamstwa w brudne gabinety,
Przysyłać w pomoc despotom bagnety,
Wyprawić kilka rzezi i pożarów,
Zagrabiać cudze dokoła dzierżawy,
Skradać poddanych, płacić cudzoziemców,
By zyskać oklask Francuzów i Niemców.
Ujść za rząd silny, mądry i łaskawy.

MODLITWA PIELGRZYMA

Panie Boże Wszechmogący! Dzieci narodu wojennego wznoszą ku Tobie ręce bezbronne z różnych końców świata. Wołają do Ciebie z głębi kopalni sybiryjskich, i ze śniegów kamczackich, i ze stepów Algieru, i z Francji, ziemi cudzej. A w ojczyźnie naszej, w Polsce, wiernej Tobie, nie wolno jest wołać do Ciebie; i starcy nasi, kobiety i dzieci modlą się do Ciebie w skrytości, myślą i łzami. Boże Jagiellonów! Boże Sobieskich! Boże Kościuszków! Zlituj się nad ojczyzną naszą i nad nami! Pozwól nam modlić się znowu do Ciebie obyczajem przodków na polu bitwy, z bronią w ręku, przed ołtarzem, zrobionym z bębnów i dział, pod baldachimem, zrobionym z orłów i chorągwi naszych; a rodzinie naszej pozwól modlić się w kościołach miast naszych i wiosek naszych, a dzieciom na grobach naszych. A wszakże niech sie stanie nie nasza wola, ale Twoja. Amen.



Stare mury Warszawy

STANISŁAW RURAT

O CELE WOJNY

Skoro bada się nastroje wśród opinji publicznej Stanów Zjednoczonych, uderza fakt, że od bardzo niedawna publicystyka amerykańska wypowiadała się coraz wyraźniej za wyjaśnieniem celów wojennych ze strony poszczególnych członków Zjednoczonych Narodów. Z artykułów znakomitych publicystów, jak p. Lippmana i p. Dorothy Thomposon, wynika coraz widoczniej, że daleko sięgające roszczenia Rosji zaczynają oddziaływać uświadamiająco. Wydaje się, że opinja amerykańska wyczuwa już niebezpieczeństwo jakie mieści się w "płynności" celów wojny. Ostatnio pojawiły się pogłoski o prawdopodobieństwie spotkania Prezydenta Roosevelta ze Stalinem na Alasce, a zapowiedziany przyjazd ministra Edena do Waszyngtonu łączony jest również ze stanowiskiem, jakie Anglja i Ameryka mają wspólnie ustalić w stosunku do postulatów Rosji.

Wobec tych wszystkich sugestji i domysłów, ważne jest tylko, aby Anglja i Stany Zjednoczone jako projetkodawcy przyszłego pokoju, zdołały ustalić wspólną płaszczyznę, na której możnaby budować przyszłość świata, a zwłaszcza Europy. Jak dotąd bowiem tendencje polityczne, które nurtowały wśród społeczeństwa brytyjskiego i amerykańskiego, były dość różne. W czem wyrażają się różnice?

Rozbieżność polegała na tem, że polityka amerykańska ma już tradycyjną linję ochrony narodów słabszych, podczas gdy polityka brytyjska kierowała się właśnie jedynie racją z uwzględnieniem przedewszystkiem elementu bezpiecznstwa Wysp Brytyjskich.

Polityka amerykańska jest zasadniczo przeciwna pogwałceniu praw narodów dla uzyskania korzyści po wojnie. Wynika to zarówno z tradycji tej polityki, jak i z ideologji narodu amerykańskiego. Znajdą się niewątpliwie tacy którzy będą twierdzić, że Stany Zjednoczone mogły sobie pozwolić na zasadę ochrony narodów słabszych, bo pozycja geograficzna daje im maximum bezpieczeństwa. Dowodzić dalej będą, że odległość od konfliktów europejskich i olbrzymi potencjał umożliwiły Stanom Zjednoczonym zachować stanowisko nadrzędne, tak bardzo odpowiadające ideologji narodu amerykańskiego.

Rozumowanie takie traci jednak podstawę, gdy zważy się, że pojęcie bezpieczeństwa uległo także w Stanach Zjednoczonych zasadniczej zmianie i że w Ameryce wiadomo już jest, iż każdy konflikt lokalny gdziekolwiek miałby wybuchnąć, stanie się groźbą dla drugiej półkuli, a lotnictwo przenieść może wojnę na obszar Stanów Zjednoczonych.

Pomimo jednak zmiany warunków bezpieczeństwa, Stany Zjednoczone nie zmieniają swej tradycyjnej linji wobec narodów. Kierują się oni nadal zasadą, że w całej historji agresja jest sprawą silnych, a nie słabych, i że utrzymanie pokoju możliwe jest tylko przez ochronę słabszych przeciw sile napastnika. Siła, to zatem czynnik z którym polityka amerykańska stale się liczyła i liczy. Chodzi tylko o to jakim ona celom ma służyć i w tym punkcie rozbiegają się bardzo wyraźnie pojęcia Stanów Zjednoczonych od poglądu nietylko Niemiec, ale również i Rosji. Porównanie to zarysuje się najlepiej na stosunkach z Ameryką łacińską.

Podstawowym czynnikiem Unji panamerykańskiej jest równość i pełna suwerenność wszystkich członków Unji, niezależnie od obszaru i liczby ludności. Pojęcie nienaruszalności terytorjum małych państw nie ulegało i nie ulega wątpliwości i nie było nigdy kwestjonowane z punktu widzenia bezpieczeństwa strategicznego Stanów Zjednoczonych.

To też z wybuchem wojny, mimo ważności i potrzeby zabezpieczenia Kanału Panamskiego Stany Zjednoczone nie okupowały Meksyku, aczkolwiek Kanał Panamski jest dla nich sto razy ważniejszy, niż finlandzka Haangoe dla Rosji.

Bazy wojskowe użyczone zostały Stanom Zjednoczonym na okres wojny przez kraje Ameryki łacińskiej bez obawy. Nikt nie podejrzewał że wraz z wkroczeniem wojsk amerykańskich odbędą się komedje plebyscytów, które zakończyć mają samodzielność kraju, jak to miało miejsce w państwach bałtyckich.

Holandja, współdziałając na Pacifiku ze Stanami Zjednoczonymi, nie podejrzewała, że Prezydent Roosevelt chcąc "ubezpieczyć" się przed atakiem Japonji. zawrze z cesarzem Hirohito układ o podziale Indji Holenderskich i ogłosi światu, że Holandja przestała istnieć jako państwo kolonjalne. Tak postąpiły tylko Sowiety wobec Polski.

Słowem, Stany Zjednoczone nie zdobywały swego bezpieczeństwa kosztem krajów mniejszych, a dzięki pomocy, współpracy i przedewszystkiem ochronie ich samodzielności i suwerenności. Tę zasadę określoną pojęciem "polityki dobrego sąsiedztwa" pragnęłaby Ameryka przeprowadzić jako wytyczną dla stosunków obowiązujących Zjednoczone Narody.

W Anglji natomiast, przedmiotem bezpośredniego zainteresowania polityki brytyjskiej i kierowanej przez nią opinji publicznej, były przedewszystkiem te kraje, których zarówno pozycja geograficzna jak i strategiczna związaną jest z promieniem bezpieczeństwa Wysp Brytyjskich i pozycją Wielkiej Brytanji na Atlantyku. Wzrok Anglji skierowywał się zawsze na Hiszpanję, Francję, Belgję, Holandję i Norwegję, jako kraje, z których Anglja może zostać bezpośrednio zaatakowana. Jeśli chodzi o kontynent Europy, Anglja zarysowała granice swego bezpieczeństwa, jak wiadomo, nad Renem. I dziwne, że gdy w odległej dla samolotów niemieckich Ameryce wojna rozszerzyła pojęcie bezpieczeństwa na cały niemal glob, Anglja atakowana ciągle przez lotnictwo nieprzyjacielskie utrzymuje zdaje się w dalszym ciągu doktrynę bezpieczeństwa izolowanego. Do dnia dzisiejszego nie uświadomiono sobie w Londynie nawet tego, że kontynent europejski stanowi całość i że bezpieczeństwo Anglji zależy od warunków panujących w całej Europie a nie tylko na brzegach atlantyckich. Upór Locarna, który dzielił Europę na wschodnią i zachodnią, jest ciągle jeszcze widoczny w opinji angielskiej. Ujawniło się to bezpośrednio po upadku Francji, oraz po zaatakowaniu Rosji przez Hitlera.

Kiedy upadek Francji wyłączył to najpotężniejsze państwo kontynentu europejskiego z szeregu aljantów, sądzić można było, że Anglja powoła te rządy krajów europejskich, które znalazły się w Londynie, do reprezentowania Europy Można było sądzić, że Anglja stworzy zespół narodów, które walczą naprawdę o Europę demokratyczną i że wyłoni przy pomocy rządów aljanckich nową organizację polityczną, której nada formę ideową. Dla tych wszystkich, którzy doprawdy pragnęli powiązania idei z racją polityczną moment po upadku Francji wydawać się musiał najbardziej odpowiedni dla stworzenia podwalin pod przyszłą współpracę narodów Europy.

Tymczasem do chwili rzucenia przez prezydenta Roosevelta myśli Narodów Zjednoczonych, w Anglji nie powstała nietylko szeroka koncepcja ideowa ale nie zdołano nawet znaleźć formy współpracy politycznej dla Europy walczącej. Wydaje się że w Londynie nietylko o to nie starano się, ale jakby niechętnie patrzono na samorzutne próby rządów europejskich przebywających czasowo w stolicy Anglji. Do dnia dzisiejszego inaczej i o czem innem rozmawia się w Londynie z rządem norweskim, belgijskim, czy holenderskim, a inaczej z rządami Jugosławji i Polski. Te dwa właśnie narody, których wkład w tę wojnę i zwycięstwo wyraża się w morzu krwi, mają do dnia dzisiejszego inny walor od spraw związanych z — morzem Północnym. Są one za odległe dla bezpieczeństwa Anglji. Uporczywość opinji brytyjskiej wpatrzonej w Kanał, zatokę Biskajską czy Morze Północne, jest tak wielka, iż prosty fakt, że bezpieczeństwo Anglji zależy w równym stopniu od Wisły, Dunaju i Sawy, jak fjordów norweskich czy brzegów Hiszpanji pomimo wojny nie dotarł jeszcze do świadomości wszystkich jej polityków i poważnych publicystów. Ten stan rzeczy uniemożliwił stworzenie wspólnoty ideowej i politycznej walczących narodów kontynentu europejskiego, i w opinji brytyjskiej zdołał utrzymać się podział na kraje więcej lub mniej ważne dla bezpieczeństwa Wysp Brytyjskich.

Linja ta ujawniła się jeszcze wyraźniej po wejściu Rosji do wojny. Z tą chwilą, a ściślej mówiąc od momentu rokowań rosyjsko-polskich nad paktem, zarysowały się w Londynie te same tendencje, które przyświecały polityce angielskiej w Locarno. Tym tylko razem Europa wschodnia nie została rzucona na łup agresji niemieckiej, swobodnie natomiast otwarto drogę do dyskusji nad oddaniem Europy wschodniej wpływom rosyjskim. Od Austina Chamberlaina do Edena przewija się zatem ciągłość pewnych prądów politycznych, wykazujących gotowość poświęcenia krajów Europy wschodniej na rzecz wątpliwego bezpieczeństwa Wielkiej Brytanji.

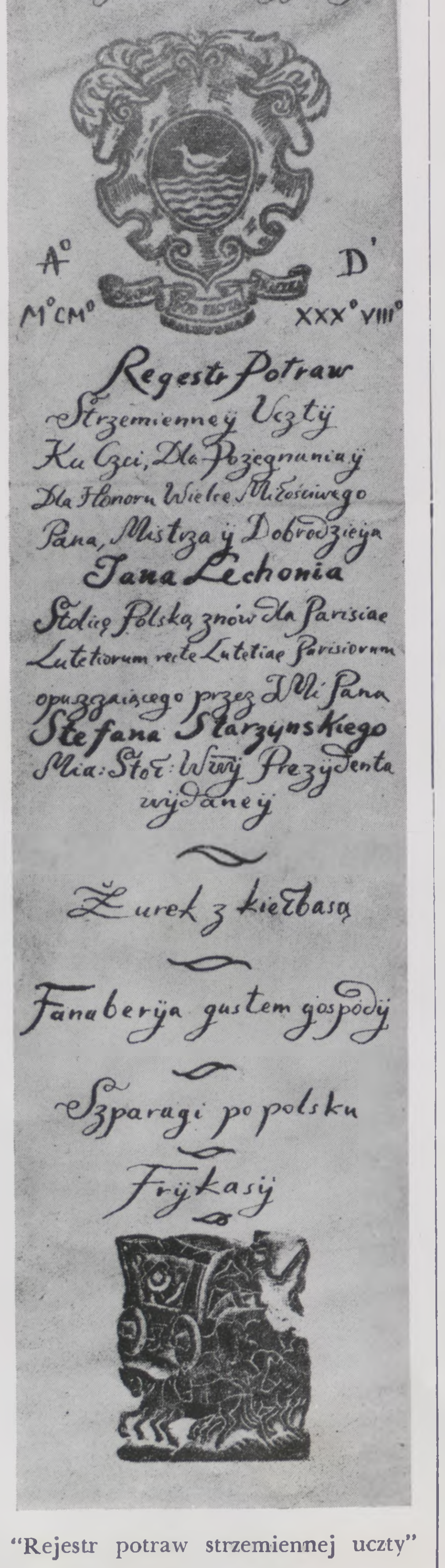
Przyjazd Edena do Stanów Zjednoczonych może wnieść nowe elementy do polityki brytyjskie. Zależeć to będzie od tego, jakie zrozumienie wykaże p. Eden dla zasady "dobrego sąsiedztwa" której niezależnie od odległości i własnego bezpieczeństwa hołduje polityka amerykańska. Przyjęcie tej doktryny przez rząd brytyjski postawiłoby Wielką Brytanję niewątpliwie w lepszej sytuacji politycznej a napewno bezpieczniejszej od tej, którą nazywamy "bezpieczeństwem izolowanem".

(Dokończenie ze str. 1-ej)

Gawęda o Starzyńskim

nilji od Semadeniego, dźwięk dzwonków od sanek i zapach choinek na placu Wareckim, witryny z nowemi książkami gwiazdkowemi u Gebethnera i Wolffa, doroczny salon w Zachęcie z nowym Chełmońskim, Kossakiem i Fałatem, szatkownicy kapusty, zduni i froterzy — to była moja młodość, moje fantastyczne przygody, mój świat czarów! Żyłem w nim, nie szukając innego ani przez chwilę nie przestając marzyć długo jeszcze potem gdy nie byłem już dzieckiem aż do dnia gdy bajka przeszłości stała się bajką żywą. Pałac Belwederski, gdzie rozbrzmiewały kiedyś kroki podchorążych, słyszał teraz głos człowieka, który odwrócił nasze oczy od historji bo sam stał się historją, rapsodem Wyspiańskiego, obrazem Matejki, stronnicą z Lelewela, wierszem Mickiewicza; jakżesz pamiętam tę chwilę, gdy w roku 1915 uczeń naówczas, zobaczyłem w oknie u Mortkowicza na Mazowieckiej pierwszą jego fotografję i odrazu poczułem, że jest to taki człowiek, jak ci, o których pisali wielcy poeci i że mam go kochać i ufać mu bez granic! I oto wtedy właśnie, kiedy nasza współczesność zaczęła być historją — instynktownie, nie zdając sobie z tego sprawy, zażądałem tego samego od Warszawy. Poczułem że stare pałace warszawskie, pamiątki przeszłości, przestały być historją a stały się jej cmentarzem, zrozumiałem że na to aby Warszawa była znów tem czem przedtym dla narodu, aby jej mury mogły znów nam mówić o wielkości, wzywać do marzeń, musimy wznieść nowe, tak samo wspaniałe jak dawne i że wtedy te dawne znów przemówią, mieszając swój głos do nowej pieśni.

I oto właśnie Warszawa przez długie lata po wojnie jakby opierała się temu porywowi całego narodu do twórczości, do dzieł wielkich, do mierzenia sił na zamiary. Do rządów w mieście przychodzą wtedy przeważnie ludzie starej daty, prowincjonalni honoracjorzy, często najlepszej woli ale tak przyzwyczajeni do tego, że za rosyjskich czasów pomnik budowało się przez lat dwadzieścia a most przez pięćdziesiąt, że każda inicjatywa urbanistyczna wydaje im się szaleństwem; byli między niemi i tacy, którym szaleństwem zdawało się zburzenie soboru na Placu Saskim: tynkować domy, reperować bruki, w najlepszym razie porządkować finanse — oto co było jedynie dostępne ich wyobraźni. Przy nieograniczonych karjerach, które się wtedy otwierają przed Polakami, jakże nikłym honorem zdaje się być krzesło prezydenta Warszawy! I któżby się ubiegał o ten zaszczyt skoro trzeba go opłacać ciągłem użeraniem się z Radą Miejską, intrygami politycznemi, koniecznością realnych wyników pracy a gdy się to nie uda, nie zostaje jak każdemu ministrowi nadzieja, że niedługo następca skompromituje się jeszcze bardziej, że się uknuje jakąś kuluarową intrygę i w tryumfie wróci na fotel. Stefan Starzyński, był odeszłym wiceministrem, miał już ważne prace rządowe i cenne rozczarowania za sobą gdy decydował się zostać prezydentem Warszawy. Gdy obejmował to stanowisko, mogło zdawać się, że będzie ono dla niego środkiem do politycznego "odbicia się", że zdolny, ambitny, ryzykancki w najlepszem tego słowa znaczeniu, nieprześladowany przez zazdrość na tak, jak na polityka, niewysuniętym posterunku, zrobi w mieście cenne rzeczy i pójdzie wyżej. Nie będzie to uchybieniem czci dla Stefana Starzyńskiego jeśli przypuścimy, że początkowo może i on tak myślał, że czując zdolność do największych rzeczy, chciał dać jej miarę na Ratuszu i potym te większe, największe rzeczy robić; czyż zresztą nie myślimy, że miał prawo żywić takie ambicje?



w dzień św. Dezyderego

A° D'
M°CM° XXX°VIII°

Regestr Potraw
Strzemienney Uczty
Ku Czci, Dla Pożegnania y
Dla Honoru Wielce Miłościwego
Pana, Mistrza y Dobrodzieja
Jana Lechonia
Stolicę Polską znów Dla Parisiae
Lutetiorum recte Lutetiae Parisiorum
opuszczaiącego przez JMci Pana
Stefana Starzynskiego
Mia: Stoł: Wwy Prezydenta
wydaney

Żurek z kiełbasą

Fanaberja gustem gospody

Szparagi po polsku

Frykasy

"Rejestr potraw strzemiennej uczty"
(do artykułu "Gawęda o Starzyńskim")

Ale, zasiadłszy na dekertowskim fotelu, Starzyński syn Warszawy, gdzie kończył sławną szkołę Konopczyńskiego na Sewerynowie, musiał poczuć odrazu wielką poezję swego zadania, zrozumiał, że dla Polaka, urodzonego w niewoli, być Prezydentem Warszawy, następcą Dekerta, jest to zaszczyt, szczęście, ponad które niewarto sięgać; w polityku obudził się człowiek tej najlepszej Warszawy Prusa i Żeromskiego, kochający poprostu swe miasto, jego mieszkańców; tutaj właśnie na Ratuszu poczuł się on sobą u siebie na swoich śmieciach, tutaj, mówiąc bez patosu, Polska przemówiła do niego najbardziej zrozumiałą mową, mową rodzinnego miasta i powiedziała, że tutaj jest jego miejsce, jego wielkie przeznaczenie. Mieszkałem już wtedy od lat w Paryżu, kiedy Starzyński zaczął swą wielką robotę w mieście, o której dochodziło mnie to, co mogło dochodzić na taką odległość, jak się miałem przekonać bardzo mało, gdyż w gazetach albo o tem nie pisano albo tak pisano, że się nie chciało czytać; co najdziwniejsze zaś, sami warszawiacy patrząc codziennie na to co się budowało, zmieniało w mieście — jakby nie zdawali sobie sprawy z wyjątkowości, rozmiaru tej twórczości. Starzyńskiego znałem przed jego przyjściem na Ratusz, spotykając go jako ruchliwego warszawiaka raz poraz; kiedy był wice-ministrem skarbu miałem do niego jakieś ważne zlecenie z Ambasady: wtedy odniosłem rzadko odczuwane wrażenie że rozmawiam z człowiekiem bez uprzedzeń, mającym swe twarde przekonania, ale chcącym i umiejącym rozumieć innych. Drugie, może dłuższe z nim spotkanie odkryło mi inną, głęboko ludzką cechę jego charakteru i myślę, że wpłynęło na późniejsze widzenia się. W rozmowie tej chodziło o dziś nieżyjącego mego ojca. Zostawszy jako starszy już człowiek zarządcą miejskiego przytułku starców na Przyrynku, ojciec znalazł w tem pracę, którą wszyscy jego poprzednicy traktowali jako urzędowanie do zbycia byle jak, a która jemu wydała się spełnieniem marzeń młodości o pracy społecznej, o niesieniu pomocy bliźnim, okazją, której zawsze w życiu szukał do poświęcenia się. W parę lat z zaniedbanego przytułku, który zresztą mieścił się ślicznie w starych domach, tuż pod wieżą Panny Marji, rówieśniczką Grunwaldu, mój ojciec ku zdumieniu i niemal zgorszeniu leniwego magistratu zrobił cacko, wzór dla Europy, pokazywany później z dumą przez tychże panów z magistratu przejezdnym cudzoziemcom. Niesposób wyliczyć kogo ojciec nudził, męczył o dary i pomoce, jakich udogodnień nie zaprowadził w tym opuszczonym przedtym przytułku, jakie siał kwiaty na dziedzińcu i w "korytkach", u jakich misji amerykańskich nie zabiegał o mleko w puszkach, o ciepłą odzież dla biedaków. Kiedy nic już nie było do zrobienia nowego w tym wypolerowanym, wycackanym domu starców, mój siedemdziesiątki dobiegający ojciec zabrał się do pobliskiej szkoły miejskiej, cały wolny czas tam spędzał i w parę lat zrobił z nią to samo co z przytułkiem: stała się ona wzorem nietylko dla szkół powszechnych i zobaczywszy ją z melancholją porównywałem ją do szkoły Konopczyńskiego, którą kończyłem i która w swoim czasie uchodziła za wzorową.

Wszystkich tych cudów dokonał mój ojciec, nietylko nie zginając przed nikim karku, nie zapisując się do żadnych organizacji prorządowych, nie winszując szefom imienin i nie posyłając szefowym kwiatów ale, wręcz przeciwnie, zachowując się tak jakby robił wszystko na to aby go usunięto z posady. Ile razy przyszedł z magistratu okólnik, który wydawał się ojcu niemądry, brał on najspokojniej w świecie za telefon i mówił takie naprzykład rzeczy naczelnikowi Wydziału Dobroczyności: "Cóż to znów za idjota kazał wysłać ten okólnik?" Mój ojciec był człowiekiem starej daty i uważał, że należy zawsze mówić to co się myśli. Na domiar tego był on zapalonym naiwnie endekiem szczególnego nabożeństwa, gdyż uczestnicząc w młodości w początkach ruchu narodowo-demokratycznego, przyjaźniąc się z Dmowskim i Janem Ludwikiem Popławskim, jakby nie dostrzegał później, że jednak partja ta poszła na prawo i żył w przekonaniu że jest bojowym lewicowcem. Kiedy były na ratuszu rządy endeckie, mój ojciec nie mówił o tej swej przeszłości, nie wieszał na ścianie młodzieńczej fotografji Dmowskiego, którą zawsze miał w albumie, ale kiedy przyszli do władzy piłsudczycy nietylko nie przestał prenumerować dla przytułku swej ulubionej "Gazety Warszawskiej" ale jeszcze staruszki buntował i grzmiał na "sanację". Sprawa przeniesienia mego ojca na emeryturę nie miała szczęśliwie, nic z tą jego porywczością wspólnego, ojciec jednak dawno przekroczył siedemdziesiątkę, jego dalsze pozostawanie na stanowisku było wbrew ustawom, było to sprawiedliwie i normalne, aby opuścił swą posadę, a to dla ojca, nieprzyzwyczajonego do próżnowania, było nieszczęściem. Parokrotnie, biorąc to pod uwagę, odkładano czas jego przeniesienia, wreszcie w dniu, o którym mówię, prezydent Starzyński poprosił mnie do siebie do Ratusza i tam w najprzyjaźniejszych słowach prosił mnie abym przygotował ojca na decyzję, której już nie można odkładać, zapewniając jednocześnie, że Magistrat zdaje sobie sprawę z zasług i zalet charakteru ojca i że dostanie on maksymum emerytury. Tego to dnia miałem nietylko wzruszyć się głęboką ludzkością Stefana Starzyńskiego ale zarazem podziwiać sposób jego pracy w Polsce naprawdę wyjątkowy. Byłem bowiem przyzwyczajony przez różnych większych i mniejszych dostojników wszelkich politycznych maści, że bez względu na to czy i co robili, nigdy nie mieli czasu. Przedostać się do niejednego naszego wielmoży przez armję sekretarek, telefonistek, szefów gabinetu, broniących każdej jego chwili, utrafić na ten moment, kiedy nie przyjmował on żadnej delegacji, nie jechał właśnie niczego "uzgadniać", nie śpieszył się do jakiegoś jeszcze większego dygnitarza, było to rzadkiem szczęściem dla Polaka; nie mówię, broń Boże, żeby to płynęło ze złej woli, poprostu była to nieumiejętność dawania sobie rady z czasem, jakiś nerwowy nieporządek, który więcej nam krzywd wyrządził niż różne polityczne błędy.

Otóż kiedy byłem pierwszy raz u Starzyńskiego na ratuszu, stwierdziłem ze zdumieniem, że ten człowiek, który miał całą stolicę na swej głowie i robił jedną z największych pionerskich robót w Polsce, miał czas na wszystko i dla wszystkich, nie spieszył się, rozmawiał tak jakby ta rozmowa



Zamek Warszawski po zburzeniu przez Niemców

była jedynie ważną, jedynie go zajmująca. Czyż to samo nie było podziwu godne że tyle czasu, starania i delikatności poświęcił aby wyjść po ludzku względem starego urzędnika? Ale skończywszy z tą sprawą, zaczął Starzyński zkolei mnie się pytać o Paryż, o politykę francuską, o różne interesujące go rzeczy, nawet o tak napozór błahe jak o protokół przyjęć w Ratuszu Paryskim; z każdego słowa czuło się, że on o wszystkiem myśli, o wszystkiem pamięta, wszystko przewiduje; wtedy to już zrozumiałem że w tym niskim człowieku, niepozornym, o typowej krępej figurze małego szlachetki tkwi wielki rządca, dowódca, człowiek naprawdę niezwykły. Każde później zetknięcie się z nim, z jego biurem to wrażenie potwierdzało.

Kiedy przyjeżdżałem do Warszawy aby zorganizować wielką imprezę Baletu Polskiego, zachodziłem do wszystkich możliwie ważnych ludzi, którzy mogli coś tej sprawie dopomóc. Iluż z nich różne cuda obiecało, jak się później przekonałem bez żadnej nadziei, że będą mogli tego dotrzymać. Starzyński chciał pomóc naprawdę, sprawa, którą mu przedstawiłem z punktu widzenia interesów Warszawy jako realną korzyść dla teatru Wielkiego, naprawdę go przejęła; widziałem że radby był na nią poszedł, ale odrazu powiedział mi, że ma teraz mnóstwo innych planów, które musi kolejno urzeczywistnić, że więc wątpi czy wydostanie pieniądze. Obiecał że jeszcze wszystko to rozważy, rozejrzy się i da mi ostateczną odpowiedź do Paryża. I odpowiedź przyszła wprawdzie odmowna ale przyszła i już w dwa tygodnie potem. Za następnej mej bytności w Warszawie, spotkawszy tak zwanego Przypka czyli Dr. Tadeusza Przypkowskiego, historyka sztuki z Krakowa rodem, obłędnego snoba, ale pozatem figurę fantastyczną, gdyż wiedział on absolutnie wszystko z historji sztuki, z historji Krakowa, umiał kuć w miedzi, rzeźbić w kości słoniowej, jedyny w Polsce robił zegary słoneczne, fotografował niczem Bułhak spotkawszy otóż swego Przypka, który w tym czasie został sekretarzem Starzyńskiego i z najbardziej krakowskiego Krakowiaka stał się znawcą Warszawy lepszym od Kraushara i niegorszym od Or-Ota — dowiedziałem się, że prezydent Starzyński chciałby mnie zapoznać z nową Warszawą, gdyż właśnie słyszał od kogoś, że mnie te sprawy interesują i że jeśli idę na to, on, na zmianę z Przypkowskim obwiezie mnie po mieście i sam mi wszystko pokaże. Widziałem wprawdzie na każdym kroku w Warszawie, że coś się zmieniło, że Ratusz i Teatr są wyczyszczone, pałac Blanka odbudowany, ale chodząc jak wszyscy warszawiacy temi samemi wciąż szlakami: Nowym Światem i Krakowskiem, Mazowiecką albo Marszałkowską — nie wiedziałem, że na naszych oczach albo raczej poza naszemi nieuważnemi oczami wyrosło nowe wspaniałe miasto, takie właśnie o jakiem marzyłem, wielka poetyczna Warszawa, prawdziwa stolica, oddychająca nową historją i wskrzeszająca przez to tę dawną. Nie zapomnę nigdy słonecznego poranka, kiedy nagle na miejscu, koło którego przechodziłem codzień przez lat kilkanaście — zobaczyłem stare mury, niczem Barbakan Krakowski, jakby cudem wyrosłe z pod ziemi. Jakżesz głębokiego doznałem wzruszenia, patrząc na tę odkrytą nagle kolebkę mego rodzinnego miasta! Przypkowski kazał mi skakać po jakichś wertepach, wskazując szlak jakichś innych mających dopiero być odkopanemi murów; jak z pod lawy Herkulanum wyłoniła się nieznana nam, rycerska, średniowieczna Warszawa, niosąca tchnienie wielkiej poezji, tej samej, której głosu słuchałem gdym był dzieckiem.

W parę minut potym oglądałem inne arcydzieło odruszczone i odczyszczone: stary arsenał Władysławowski o cudownych, niczem zamojskie, podcieniach: jechałem przez Plac Krasińskich na Żoliborz nowo przebitą drogą, budującym się szerokim szlakiem, mającym z dawnej i tej nowej, Starzyńskiego Warszawy zrobić jedną, skazując na zagładę brudne dzielnice, w których gnieździła się nędza i rodziła zbrodnia. Nie chciałem wierzyć, że to naprawdę mogło dokonać się w parę lat, zobaczywszy wzorowe osiedla robotnicze na Kole, nie wierzyłem oczom, oglądając szeroki, wspaniały, owiany potężnem tchnieniem Wisły bulwar gdański o którym myślało się przez lata jak o niedościgłem marzeniu.

Wróciwszy z tego pierwszego objazdu ja, rodowity warszawiak zamieszkały w Paryżu, miałem wrażenie, że wracam z najbardziej fantastycznej podróży, podróży w przeszłość i w przyszłość — o tej też właśnie nowej Warszawie opowiadałem gorączkowo, jak o powrocie z dalekich krajów, moim kolegom w kawiarni, z których żaden jak się okazało nie widział przedtym starych murów miasta. Następnego dnia obwoził mnie sam Starzyński.

"Chcę żeby Pan przekonał się, że z którejkolwiek strony wjedzie teraz do nas cudzoziemiec, wjedzie do czystego, wielkiego miasta" powiedział mi i w przeciągu paru godzin wjeżdzaliśmy przez coraz inne rogatki do Warszawy, której nie poznawałem, nie widząc sławnego błota na Woli, gdzie teraz krzewił się śliczny park ludowy z cudownym pomnikiem Sowińskego, dłuta Breyera. Grochów, nowe wielkie miasto o ulicach szerszych od najszerszych ulic Warszawy, o którego istnieniu nie miałem pojęcia, nowe wielkie, od pól Elizejskich szersze arterje na Mokotowie, stare dzielnice burzone niczem przez Haussmana w Paryżu, ulice rozszerzane dwukrotnie, wszystko to wyrastało przedemną jak znaki wolności, genjuszu, szczęścia mojego narodu. Gdzie tylko było wolne miejsce aby posiać na niem kwiaty, nasycić je zielenią, tam z dnia na dzień niemal Starzyński wytyczał skwery, niektóre jak ten przy ulicy Topolowej, robiące wrażenie starych parków. Gdzie tylko dać można jakąś perspektywę, której tak Warszawie brakło, zrobić coś dla oka, dla piękna, coś napozór niepotrzebnego a w gruncie rzeczy niezbędnego dla radości, dla marzenia, tam grubociosany, nie wypowiadający się o sztuce Starzyński, stawał się najbardziej subtelnym artystą i tak naprzykład powstał Kanał Łazienkowski, obsadzony drzewami jak na starym pejzażu włoskim, czarujący łagodną harmonją niby z obrazów Poussina.

Ileż to pracy Starzyńskiego weszło w Muzeum Narodowe, po którem mnie oprowadzał z dumą, wskazując na nabytki z obcej sztuki i na arcydzieła Gierymskich, Matejki, Chełmońskiego, jakoś przedtym ukryte, nieznane, wydobyte z prywatnych zbiorów! Ostatniego dnia tego zwiedzania zaprosił mnie Starzyński na śniadanie do "Złotej Kaczki", po którem właśnie został mi jako pamiątka ów żartobliwy "rejestr potraw." Tam mówił mi jeszcze długo o swoich kłopotach, o niezwykłych sposobach wychodzenia z ludźmi, o planach na lata całe, planach wszystkich nad zwykłą miarę ale właśnie na miarę tego człowieka, którego gorących słów słuchałem z tchem zapartym, ze wzruszeniem, jakbym słuchał wielkiego twórcy układającego wiekopomny poemat. Następnego dnia wyjeżdżałem do Paryża bardziej niż zwykle skłócony z sobą, pełen wyrzutów, że nie wracam do kraju, do Warszawy. W jakiś czas po tym napisałem artykuł o nowej Warszawie do "Gazety Polskiej" i bez trudu udało mi się wyrazić w nim mój entuzjazm, który czułem tak głęboko. Swoim zwyczajem zawsze ludzki i uprzejmy Starzyński odpowiedział mi serdecznym listem do Paryża, po tym kiedyś raz jeszcze miałem list od niego, świadczący jaki polot artystyczny towarzyszył jego pracy. Chodziło o zaproszenie wielkiego rzeźbiarza francuzkiego Maillola do konkursu na pomnik Piłsudskiego, co uczyniłem i z czego w rezultacie wynikł projekt innych prac Maillola dla Warszawy.

Kiedy jesienią 1939 roku płonęła Warszawa i wśród tych płomieni, pod deszczem bomb stanął Stefan Starzyński jako sumienie Polski, wcielenie jej honoru, kiedy przez cały świat szedł we wzruszeniu i podziwie dźwięk tego nieznanego dotąd nazwiska — przyznam się, nie zdziwiłem się, że to ono właśnie rozbrzmiewa że to Stefanowi Starzyńskiemu przyszło wcielić i ponieść do nieśmiertelnej legendy największe, niebywałe cnoty Polaków.

Wydało mi się to głęboko ludzkie, i dane nam jako przykład wspaniały, że właśnie ten człowiek napozór zwyczajny, ale tak niebywale rządny, czujący rzeczywistość, umiejący wszystko w czyn wprowadzić, że to ten bohater pokojowej twórczości, bohater budowania, twórca szczęśliwszego lepszego życia dla zwykłych ludzi — stał się w wielkiej chwili rycerzem o duszy tak wzniosłej jak książe Józef, legendarną postacią, jak ksiądz Kordecki; wydało mi się że to właśnie życie jest przykładem jaką drogą idzie się do bohaterstwa.

Czy Stefan Starzyński, jak to wieść uporczywa głosi, poniósł śmierć męczeńską, czy, w co wszyscy chcemy wierzyć, gnębiony okrutnie żyje gdzieś jednak ukryty i kiedyś zmartwychwstanie, aby odebrać od narodu uwielbiającego go i wdzięcznego mu bez granic należny hołd za to wspaniałe piękno, które dodał do piękna naszej historji, czy żywemu czy umarłemu postawimy mu pomnik na najpiękniejszym placu uwolnionej Warszawy — jego życie, życie zwykłego Polaka, który w każdej chwili działał według najwyższej miary swego sumienia — będzie nam mówiło zawsze, że wciąż jeszcze niedość kochamy nasz kraj i niedość wierzymy w nasz naród.

JAN LECHOŃ

GUSTAW BYCHOWSKI

Duchowe oblicze hitleryzmu

(Analiza niemieckiego charakteru narodowego)

III

Analiza stosunku Nietzschego do współczesności wskazuje wyraźnie na niechęć i obrzydzenie, które w nim wywołało całe mieszczańskie społeczeństwo. W stosunku do tego konglomeratu obłudy, ucisku i fałszywej demokracji, jaki dla niego przedstawiało współczesne społeczeństwo środkowo-europejskie a przedewszystkiem niemieckie, on, jako genjalny i nadwrażliwy odbiornik prądów świata, musiał wytworzyć w sobie własną linję, swoją odrębną reakcję i sposób ratunku. Linja ta nie mogła na skutek jego struktury psychicznej, pójść w kierunku szlachetnej identyfikacji ze "słabymi i poniżonymi" i walki o ich wyzwolenie na drodze przebudowy społeczeństwa, uszlachetnienia ludzkości przez realizację ideałów solidarności społecznej. Rozwiązanie poszło więc w kierunku utożsamienia z silnymi i odreagowania własnego przez zdemaskowanie ressentiment mas i rozprawienie się z wszelkimi próbami jego sublimacji (chrześcijaństwo, socjalizm, litość). Jednocześnie wołanie o nadczłowieka miało nietylko, jakeśmy widzieli, skompensować własne poczucie słabości, ale co więcej, zdusić w zarodku wszelkie próby emancypacji czyli, zatrzeć wszelkie ślady własnej do nich przynależności.

Zamiast wraz z socjalizmem dążyć do ideału sprawiedliwości społecznej, Nietzsche stał się propagatorem klasowości doprowadzonej do maximum, nieledwie wzorowanej na społeczeństwie starożytnem, którego cała świetność oparta była na istnieniu niewolnictwa.

Dla potwierdzenia słuszności naszych rozważań warto przypomnieć, z jaką nienawiścią odzywa się Nietzsche o masach i o socjaliźmie. Tendencje socjalistyczne, powiada, to "przeważnie znak że klasy niższe były traktowane zbyt po ludzku, że już zaczynają smakować zabronione sobie szczęście. To nie głód wywołuje rewolucje tylko fakt, że lud dostał apetytu en mangeant..."

W stosunku do chrześcijaństwa znajduje Nietzsche tylko słowa pogardy i potępienia.

Z punktu widzenia bezmiernego narcyzmu wszelkie idee demokratyczne muszą się wydawać bezprawnym zamachem "tłumu" na prawa wyjątkowej jednostki, wyjątkowej dzięki takim czy innym warunkom wrodzonym lub nabytym. Skoro tylko ona, albo w najlepszym razie jej równe, mają prawo do pełni życia, to "tłum" siłą rzeczy musi zostać zepchnięty do pozycji helotów.

"W Dialogu Theages Platona — mówi Nietzsche — czytamy, że każdy z nas pragnąłby być panem wszystkich ludzi, najchętniej Bogiem. Taki właśnie powinien być nasz sposób myślenia." Cytata ta mówi wszystko.

Z punktu widzenia społecznego myśl tę możnaby wyrazić jak następuje: panować powinna prawdziwa arystokracja, czyli ci co się na panów nadają. Stwórzmy prawdziwych panów, niechaj rządzą. Psychologicznie rzecz biorąc, wyglądałoby to tak: chciałbym panować, być równy Bogom, zapomnieć o wszelkiej słabości i o tem także że naprawdę silniejsi ode mnie są ci, którzy na to nie zasługują.

Tak więc Nietzsche z jego wolą mocy czy Stirner z jego kultem jednostki stali się jaskrawym wyrazem tej inteligencji europejskiej, która poczuła swoje osamotnienie klasowe i psychiczne, i zapragnęła ratować się przez przejście do obozu panów, silnych i bezwględnych. Hasła przyczepione do tych tendencji, mit który miał je ubrać, to już oczywiście rzecz wtórna: nadczłowiek, naród, czy rasa.

Destruktywność tych tendencji ujawniła się najlepiej w ich zastosowaniach począwszy od najwcześniejszych, a skończywszy na tych z ostatniej doby. Jak wiadomo, skalę mamy tutaj niewykłą: od dekadencji "próchna" aż do narodowego socjalizmu. Jak później zobaczymy, narodowy socjalizm stanowi również jedną z prób, przeprowadzonych na wielką skalę, hyperkompensaty ressentiment i poczucia słabości, w stosunku do całego narodu.

Ciągła walka Nietschego z tendencjami humanitarnemi wskazuje najwyraźniej na potężne pragnienie przezwyciężenia własnej słabości. Jej to poczucie wraz z silnymi popędami agresywnymi i narcystyczną megalomanją kazało mu przeciwstawiać się z całą gwałtownością tendencjom humanitarnym, które budziły w nim zapewne obawę przed znalezieniem się samemu w szeregach "słabych i pokrzywdzonych."

Przewidując w proroczy zaiste sposób powstanie przyszłych cezaryzmów czyli wielkich ugrupowań ludzkich, poddanych woli jednostek, Nietzsche pragnie poprostu należeć do panujących, nie do opanowanych. W pragnieniu tem znajduje swój wyraz historyczna rola części inteligencji, która, niezdolna do walki o sprawiedliwość społeczną, usiłuje identyfikować się z możnymi tego świata, przygotowując system dyktatury i faszyzmu i ich ideologji.

Zasadnicze motywy tej myśli społecznej a raczej aspołecznej muszą tkwić głęboko w mentalności niemieckiej. Powtarzając się — już po Nietzschem — w umysłach pomniejszych, powracają znowu z całą pasją i z całym aparatem naukowym u filozofa "zagłady zachodu" Spenglera. Jego praca przypada (podobnie jak u Muller - Freienfelsa) na lata po wielkiej wojnie, pierwsze lata republiki weimarskiej. Błyskotliwe, niekiedy nawet wspaniałe syntezy jego "morfologji" historycznej znajdują swoje uwieńczenie w końcu 2-go tomu dzieła, uwieńczenie tak istotne i tak zasadnicze, że całe dzieło wydaje się tylko przygotowaniem do tych konkluzji ostatecznych.

Przedewszystkiem stwierdzić należy, że ten znakomity intelektualista jest entuzjastycznym wielbicielem siły i to bynajmniej nie duchowej, siły bezwględnej i brutalnej, którą opiewa poprostu we wszelkich jej przejawach. Mówiąc o dawnych zdobywcach, wpada w wyraźny zachwyt: "Pragnienie władzy i łupu... płomienna tęsknota za czynami, jakiej nie możemy sobie wcale wyobrazić, za radosną rzezią i bohaterską śmiercią". "Tylko człowiek czynu żyje w świecie rzeczywistym, świecie rozstrzygnięć politycznych, wojennych i gospodarczych." "Tutaj jedno uderzenie jest więcej warte niż dobre rozumowanie i jest dużo głębokiego sensu w pogardzie, z jaką żołnierz i mąż stanu spoglądali w każdej epoce na pisarczyka i na mola książkowego..."

Fałszywy pragmatyzm Spenglera prowadzi do uznawania za ważne tych tylko jednostek, które osiągnęły widoczny i brutalny sukces, ich jedynie idee należy uważać za słuszne. Historja jest brutalna i tej brutalności trzeba przyklasnąć. W tej "rzeczywistej" historji mniejszą, być może, rolę odegrał Archimedes wraz ze wszystkiemi swojemi odkryciami aniżeli żołnierz, który go zabił przy zdobywaniu szturmem Syrakuzy.

Ta walka o władzę, ta wola mocy wiąże się, oczywiście, najściślej z popędami agresywno-destrukcyjnymi i z nienawiścią. Wojna jest uznana i proklamowana jako bodajże najważniejszy czynnik twórczy w historji. "Wojna jest twórcą, głód niszczycielem wszystkich wielkości." Wojna jest również jedynym, właściwym, naturalnym "rasowym" stosunkiem pomiędzy jednym narodem a drugim. Człowiek walki doznaje "cudownego poczucia mocy", które pozostaje na zawsze niedostępne dla człowieka prawdy. Człowiek walki może się być bez sumienia. W tem miejscu Spengler cytuje Goethego: "Człowiek czynu jest zawsze bez sumienia, jest ono udziałem jedynie człowieka kontemplacji."

Walka pomiędzy narodami przenosi się na zewnątrz życia samego narodu i przeobraża się w walki międzypartyjne. Walki te muszą wkońcu poprzez demokracje i jej nieunikniony upadek doprowadzić zawsze do cezaryzmu. Jakie idee, jakie ideały walkom tym przyświecają, to obojętne: "zagłada to jedyny prawdziwy popęd a cezaryzm jedyny rezultat."

Analizy historyczne doprowadzają Spenglera do wniosków analogicznych z aforystycznemi rzutami Nitzschego. Na innem miejscu zajmujemy się bliżej prawami rzeczywistości historycznej, które stara się ustalić, a które, jego zdaniem, niechybnie muszą prowadzić do władzy silnych i bezwględnych jednostek, silnych i bezwględnych narodów. "Imperjalizm — konkluduje Spengler — to warunek wszelkiej cywilizacji tak konieczny, że chwyta on naród za kark i narzuca mu rolę pana, wtedy kiedy on broni się przeciwko niej."

W tej chwili interesuje nas tylko stanowisko autora, jego stosunek do zjawisk, które opisuje i praw, które ustala. Jest to — i tutaj znowu dostrzegamy w nim duchowego spadkobiercę Nietzschego (dodajmy i prekursora Hitlera) — stosunek bezwzględnej afirmacji: panowanie siły na wszelkich terenach stosunków międzyludzkich to w jego rozumieniu nie smutne fatum dotychczasowej ludzkości ale zdrowa i piękna zasada. Należy to zrozumieć i odpowiednio się do tego przygotować. Poprzez panowania złota (demokracja!) musi dojść do zwycięstwa krwi i żelaza.

Dodajmy jeszcze, że obok świetnych rzutów myślowych znajdujemy u Spenglera jaskrawe przykłady myślenia niejasnego, autystycznego (fantastycznego) opartego na pojęciach mętnych i momentach emocjalnych. Należy tutaj n. p. cała idea rasowa, która ma być alfą i omegą procesów historycznych i decydować w pierwszym rzędzie o losach państw i narodów. Typowe dla myślenia niemieckiego wydaje się również podnoszenie wszelkich takich idei do rzędu istności metafizycznych. Stąd takie n. p. kwiatki myślowe. "Z dyspozycji tego całkiem metafizycznego faktu wynika nienawiść rasowa francusko-niemiecka, niemiecko-żydowska.... z drugiej strony z podobnego uderzenia tętna, rzeczywista, pokrewna nienawiści miłość pomiędzy mężczyzną i kobietą. Takie myślenie niejasne i fantastyczne stanowi doskonałą podstawę dla urojeń czyli idei obłędnych nietylko w życiu chorych jednostek ale i psychoz masowych, obłędu zbiorowego, któremu mogą ulegać całe społeczeństwa i narody. Urojenia także krystalizują się w naukach rozmaitych najdziwaczniejszych nieraz sekt, rozmaitych epidemjach psychicznych znanych szczególnie z średniowiecza a obecnie ze straszliwego doświadczenia naszego z hitleryzmem. Zbrodniczy charakter takich psychoz nie jest bynajmniej czemś zupełnie wyjątkowem.

Nasza krótka charakterystyka pewnych rysów mentalności niemieckiej prowadzi do następujących wniosków. Niezmierna megalomanja narodowa w połączeniu z agresywnością i pragnienie potęgi i władzy stanowi wspólną cechę niemieckich władców i myślicieli. To o czem jedni z nich bezsilnie marzą, to inni starają się realizować ogniem i mieczem, z całą bezwględnością. Dla tych swoich marzeń i czynów chętnie znajdują jakieś nadzwyczajne usprawiedliwienie, jakąś pseudo-idealizację. Koncepcje takie bywają znakomicie ułatwione z jednej strony przez pewną mętność myślenia, skłonnego do pojęć niejasnych i nieokreślonych, z drugiej przez chętne podporządkowanie się uczonych niemieckich pod ogólny nakaz "świętej" i zawsze oczywiście "słusznej" sprawy państwowej i narodowej. W związku z tem przypomnieć się godzi słynny a raczej osławiony manifest 93-ech z czasów pierwszej wojny, kiedy to najświetniejsze nazwiska nauki i myśli niemieckiej broniły wilhelmowskich Niemiec jako orędownika świętej sprawy przeciwko barbarzyństwu, zwyrodnieniu aljantów. Przypominam sobie również, jak między innymi sam wielki Wundt pisał o znakomitym duchu pruskiego militaryzmu, który rozbrzmiewa w symfonjach Beethovena!...

W ten sposób łatwo przychodzi usprawiedliwić każde bestjalstwo, każde okrucieństwo. I to szczególnie połączenie okrucieństwa z pasją uległości, fantastycznego sadyzmu z masochizmem wydaje się charakterystyczną cechą psychiki niemieckiej. Być może, jest to poczęści pozostałość nieprzezwyciężonego na terenie psychicznym ustroju feudalnego. Struktura hitlerizmu jako partji i jako państwa stanowi gigantyczną krystalizację tych właśnie hierarchji, nie jest w tem specyficznem rozumieniu niczem innem.

NASI LOTNICY W BOJU

Opowiadanie kapitana T. Jarońskiego.

Było to w sierpniu 1941-go roku. Popołudniu zapowiedziano loty operacyjne na Hamburg. Start o zmroku. Jak zwykle w dzień lotów bojowych, roboty przed startem dużo. Obsługa przygotowuje samolot, podwiesza bomby, załoga oblicza trasę znaną już zresztą prawie że na pamięć, jako że Hamburg odwiedzamy często.

O wyznaczonej godzinie startujemy i bierzemy kurs na Niemcy. Lecimy na naszej starej, wypróbowanej już w bojach maszynie "T for Tommy." Mijamy brzegi Anglji i nabierając wysokości lecimy nad Morzem Północnem. Załoga stara i doświadczona, pracuje spokojnie. Każdy wie co do niego należy, — tyle już przecież lotów w tym samym składzie robiliśmy.

Po jakiemś czasie mijamy Helgoland i zaczynamy się zbliżać do brzegu niemieckiego. Noc jasna, księżycowa, gwiaździsta. Zdala widać już artylerję i reflektory zarówno u brzegu jak i w rejonie celu. To Niemcy obrabiają samoloty, które wystartowały przed nami. Skupiamy się w sobie—mamy teraz przed sobą najtrudniejszy odcinek drogi. Trzeba się przebić nad cel przez obronę przeciwlotniczą i dziesiątki reflektorów.

Już przy przekraczaniu brzegu witają nas Niemcy zdrowo. Pociski rozrywają się naokoło. Nasza poczciwa "T for Tommy" tańczy wśród nieustannych wybuchów. Co pewien czas słychać jakiś metaliczny dźwięk w maszynie. To drobny odłamek pocisku przyleciał do nas z wizytą. Do ognia artylerji jesteśmy jednak przyzwyczajeni. Przyjmujemy to jako zło konieczne, które trzeba przebyć, aby się dostać nad cel. Przed nami widać już Hamburg jak na dłoni

Reflektory biegają jak oszalałe po calem niebie, usiłując złapać nadlatujące samoloty Ogień artylerji się wzmaga. Dochodząc bliżej widzimy kilka samolotów, naprożno usiłujących wyrwać się ze stożków reflektorów i baraży artylerji. Robimy ostatnie przygotowania do zrzucenia bomb. Cel jest pod nami. Zrzucamy bomby. Nagle w całym samolocie robi się jasno, tak jasno jak chyba tylko w niebie.

Złapały nas reflektory. Po chwili mamy już na sobie ze 30 reflektorów. Tysiące pocisków zaczyna się rozrywać koło nas. Mimo że na tej wysokości jest mróz, robi się nam naprawdę gorąco. Staramy się wszelkimi, znanymi nam trykami uciec ze stożka, ale bestje przypieli się do nas i trzymają. Próbujemy ostatniego sposobu, zaczynamy gwałtownie pikować do dołu. Co chwila słychać uderzenia pocisków i wstrząsy. Silniki na pełnym gazie, w załodze cisza. Każdy zdaje sobie sprawę, że o ile nie uda nam się wyrwać za parę sekund z tego piekła, chyba tylko cud nas uratuje. Maszyna nabiera większej szybkości. Ziemia przybliża się zastraszająco szybko. Nagle jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej robi się naokoło nas ciemno. Wśród ciszy odzywa się głos tylnego strzelca "Aleśmy ich wykiwali."

Rzeczywiście, reflektory nie nadążyły za nami. Ale jeszcze trudno mówić że niebezpieczeństwo minęło. Jesteśmy nisko, artylerja wszelkiego kalibru bije w nas. Unikamy, staramy się wyjść z rejonu celu. Po paru długich jak wieczność sekundach ucieczka nam się udaje. Przekraczamy brzeg i oddychamy z ulgą, że to się wszystko tak szczęśliwie skończyło W tem ciśnienie oliwy na prawym silniku spada. Silnik zaczyna przerywać. Oho, myślę sobie, nie dobrze! "T for Tommy" nawala. Wyłaczamy uszkodzony silnik i lecimy na jednym. Poczciwa maszyna robi wszystko, żeby nas dostawić do domu. Lecimy tak dosyć długo, ale po pewnym czasie także na drugim silniku zaczynają spadać obroty. Zdajemy sobie sprawę, że prawdpodobnie do Anglji nie dolecimy... Będziemy musieli wodować...

Radjo-telegrafista nadaje depeszę:.... "T for Tommy" silniki uszkodzone, będziemy wodować, S. O. S." Ustalamy naszą pozycję. Jesteśmy jakie 50 mil od brzegów Anglji. Maszyna ciągnie już ostatkiem sił. Tracimy wysokość, za chwilę będziemy siadać na wodzie. Załoga przygotowuje **się** w spokoju do opuszczenia samolotu. Przedni strzelec, który nigdy nie traci rezonu, mówi: "Dobrze że to lato, woda nie będzie taka zimna."

Siadamy na wodzie dość łagodnie, mimo to jednak oszklony przód samolotu pęka od uderzenia o wodę.

Woda zaczyna się wlewać do środka samolotu. Wypuszczamy gumową łódź ratunkową, tak zwane dinghy i jak najszybciej staramy się wydostać z samolotu. Nie jest to rzecz prosta, bo wszystko odbywa się w ciemnościach. Jeden z członków załogi uderzył przy lądowaniu głową o ścianę kabiny i stracił przytomność. Wspólnemi siłami wyciągamy go do dinghy. Wszystko odbywa się sprawnie. Zdajemy sobie sprawę, że gra idzie tu o wielką stawkę.. O życie.

W ciągu minuty siedzimy wszyscy w dinghy. Odcinamy sznur łączący nas z samolotem. Jesteśmy przemoczeni, ale zimna narazie nie odczuwamy. Jest nam właściwie gorąco z wrażenia. Prąd zaczyna nas oddalać powoli od samolotu. Przez parę minut widzimy jeszcze naszą maszynę powoli zanurzającą się w wodzie Biedna poczciwa "T for Tommy"! Przebyła z nami tyle lotów operacyjnych, tyle wrażeń nas z nią łączyło. Była jak gdyby cząstką naszej załogi. Teraz zanurza się powoli w falach Morza Północnego, pozostawiając nas samych na pastwę żywiołów.

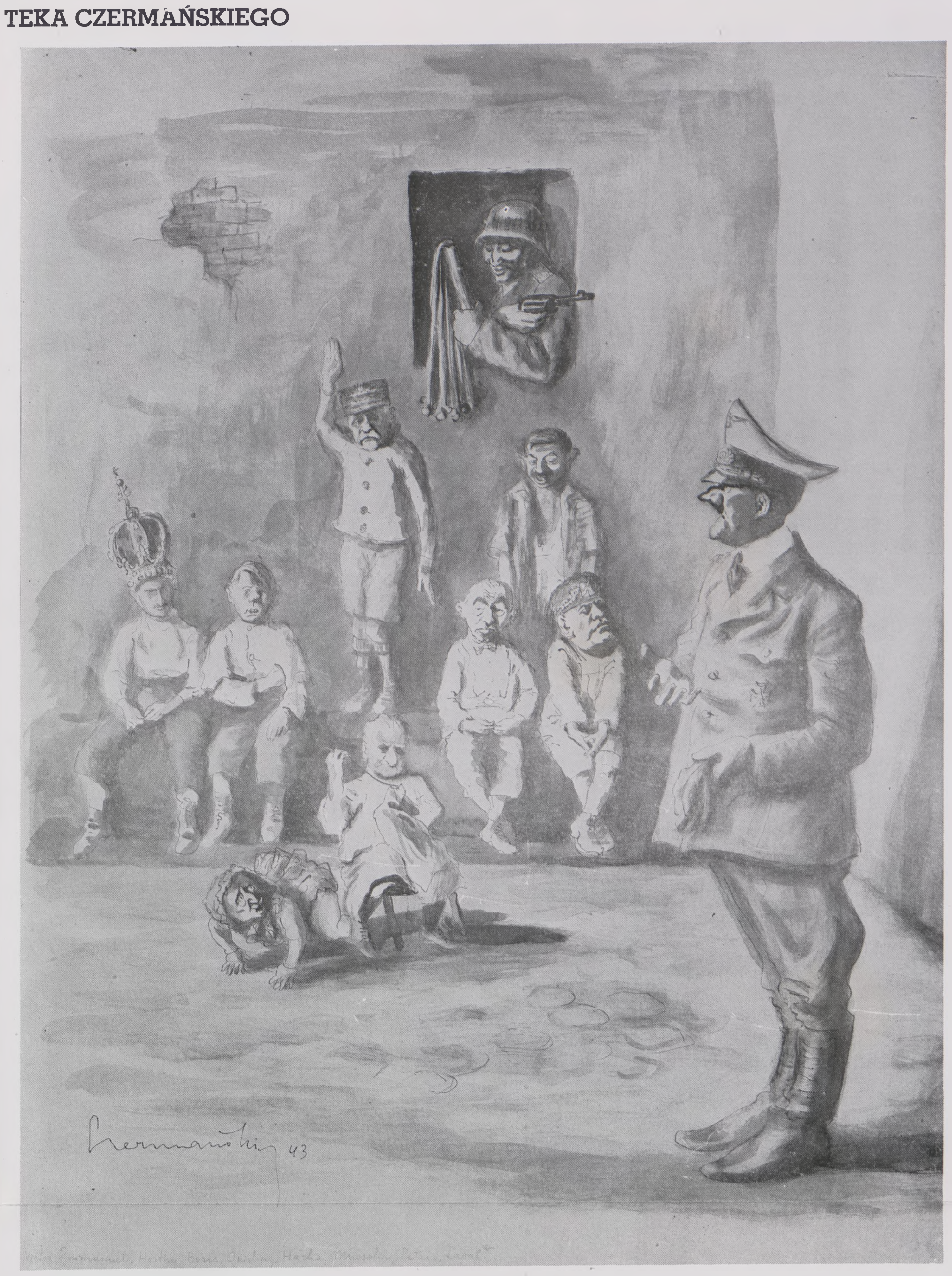
Otrząsnąwszy się z pierwszego wrażenia i po doprowadzeniu do przytomności zemdlonego kolegi, zaczynamy przy świetle latarek przeglądać zawartość dinghy. Znajdujemy żywność i rakiety, których zaraz używamy chcąc zwrócić uwagę przelatujących wysoko nad nami samolotów. To koledzy wracają z wykonanego zadania. Może zauważą i przyspieszą pomoc...

Czas wlecze się niemiłosiernie długo. W przemoczonych ubraniach zaczyna być zimno. Kulimy się na dnie dinghy, przytulając się jeden do drugiego. Zaczyna świtać. Gdzieś w oddali słyszymy warkot lecącego nisko samolotu. Boże, to pewnie nas szukają. Żeby tylko zauważyli! Świecimy latarkami, machamy czem kto ma pod ręką, krzyczymy nie zdając sobie sprawy, że i tak nie może nas słyszeć. Samolot leci w naszym kierunku... Zobaczył nas, zobaczył... Schodzi jeszcze niżej i zatacza nad nami koło. Machamy i krzyczymy z radości jak szaleni.

Ustaliwszy naszą pozycję, wiemy już że ratunek jest tylko kwestją czasu. Rzeczywiście po kilkunastu minutach, które wydają się nam nieskończone, zbliża się łódź ratunkowa. Niedługo siedzimy w kajucie, owinięci w koce i pijemy rum, wesoło gwarząc z załogą.

Przychodzi odprężenie, śmiejemy się, opowiadamy sobie wrażenia. Życie wydaje się tak piękne. Po pewnym czasie dobijamy do brzegów Anglji. Tylko gdzieś na dnie Morza Północnego spoczywa poczciwa, wierna do ostatka maszyna "T for Tommy."

TEKA CZERMAŃSKIEGO



HITLERJUGEND

(Od lewej: król Borys, Quisling, Petain, Hacha, Laval, Mussolini, król Wiktor Emanuel, Horthy, Hitler).

IRENA LORENTOWICZ

Za kulisami „Teatru Artystów"

W Warszawie każda nowa sztuka polskiego autora była sensacją. Nie mieliśmy tego dużo. Zawsze trzeba było walczyć z pociągającemi sztukami zagranicznemi, które wypróbowano na scenach świata i napewno robiły "kasę" Ale każdy dyrektor teatru miał za zadanie wystawić rok rocznie pewną liczbę oryginalnych sztuk polskich. Stary, żelazny repertuar nie wystarczał. A chociaż każde przedstawienie wznowione stanowiło o jakimś dorobku, o nowej wynalazczości w dziedzinie reżyserskiej i scenograficznej, i było świętem estetycznem, to jednak oczekiwano z niecierpliwością objawień nowych talentów. Młodzi pisarze dawali przeważnie sztuki kameralne. Ogólne zaciekawienie wzbudził Antoni Cwojdziński, wprowadzając na scenę problem naukowy. Sztuki jego cieszyły się dużem powodzeniem.



rys. I. Lorentowicz
Irena Popielska

W Warszawie teatr, autor i aktor byli otaczani serdecznemi uczuciami publiczności, od dziecka przyzwyczajonej do teatru. Kiedy się myśli o Warszawie, takiej, jaka już przecie nie wróci — będzie bowiem inna, ale nie taka — myśli się zawsze i o teatrze. To, że teatr był na takim poziomie, jest oczywiście także zasługą wdzięcznej publiczności. Teatr wychował publiczność, a publiczność popierała teatr. Było dla kogo grać!

Wieczór, spędzony w teatrze był wielkiem świętem, długo wspominanem. Ileż dawnych anegdot warszawskiego życia kręci się koło teatru! I jak wyobrazić sobie Warszawę bez placu Teatralnego, jak nie wiązać wspomnien dzieciństwa ze specyficznym zapachem i szczególnym chłodem, który nagle wionął ze sceny Teatru Polskiego na Oboźnej, kiedy kurtyna unosiła się do góry!

W domu, w szafie na półce leżały dwie niebieskie róże z jedwabiu, pachnące teatrem, bo matka, idąc do teatru, przypinała je do sukni. Jakże zazdrościłam starszym, że tak często szli w objęcia świata zaczarowanego. Na długie lata te róże, dwa strzępki niebieskiej materji, były mi symbolem niedościgłych marzeń. Chodząc po wewnętrznych schodach Opery, w wiele czasu później, do pracowni Drabika, myślałam dużo o niebieskich różach i o tem, że dekoracja teatralna jest realizowaniem malarstwa w trzech wymiarach...

Pamiętam, kiedyś po próbie generalnej, która w rękach Leona Szyllera ciągnęła się przez 36 godzin bez przerwy, wyszłam umęczona, wczesnym rankiem na ulicę, żeby odetchnąć nieco rzeczywistością. Otóż zdarzyło się, że spotkałam dawno niewidzianą koleżankę szkolną, też wracającą po nieprzespanej nocy. Podzieliliśmy się zaraz opowiadaniem o naszych losach. Była lekarką i wracała ze szpitala, z nocnego czuwania przy chorych. Wówczas, przez chwilę, wobec jej bezwgiędnej pożyteczności, własna praca wydawała mi się bezsensem. Ale tylko przez chwilę, bo nic nie mogło poderwać mojej wiary w potrzebę sztuki

Warszawska premjera...

Na premjerze spotykało się zawsze te same ważne osoby, znajome Warszawie i drogie. Tu siedział ulubiony poeta, tam wyniosły krytyk, a obok niego drugi. złośliwie uśmiechnięty. I, zawsze na tem samem miejscu, Prezydent Warszawy...

Myślę, że wiele byśmy dali, żeby raz jeszcze zobaczyć taką salę w dniu premjery, z tymi samymi ludźmi — żyjącymi jeszcze...

Teatr na wygnaniu! Oto tak się nazywa nasz teatr tutaj, szczątek teatru, z wygnańców złożony "Teatr Artystów" — stworzony przez gromadkę zapalonych warjatów, którzy uparli się, żeby koniecznie kontynuować poziom warszawskich teatrów, — ba! którzy wierzą, że poziom ten zdołają utrzymać, i że wytrwają mimo wszystko! "Pastorałka," nasze pierwsze widowisko, robione naprawdę jako "sztuka dla sztuki," dało nam dowód, że wysiłek artystyczny może być przez widzów amerykańskiej Polonji właściwie oceniony. Bo wszędzie w tych podróżach po prowincji, gdzieśmy grali ochotnie, a nieraz w trudnych warunkach scenicznych, przyjmowano nas tak serdecznie, tak gorąco i z takim entuzjazmem! I robiliśmy wszystko, żeby te malutkie i ubogie sceny zajaśniały światłem, uderzyły barwą, porwały melodją i wyrazem młodych aktorów, grających, dosłownie, z całego serca. Te "Pastorałki" związały nas z publicznością i możemy śmiało powiedzieć, że nową sztukę pokażemy już "n a s z e j" publiczności.

Kiedyś, w czasach które opisuje Sienkiewicz, wierzono absolutnie i bez reszty temu, co się działo na scenie. Były to czasy, kiedy w Ameryce strzelano do aktorów, grających czarne charaktery. Wiele się zmieniło, ale przecież niedawno jeszcze, nawet w ostatnich latach zdarzały się rzeczy, dowodzące aż nadto serdecznego stosunku do prawdy scenicznej. Oto w jednej ze sztuk polskich odbywał się sąd przysięgłych, a w braku odpowiednich aktorów dyrekcja wędrownego teatru zapraszała z widowni przygodnych sędziów, co nieoczekiwanie ożywiało akcję. Treść sztuki wymagała bowiem, żeby niewinny i szlachetny bohater był bezwzględnie przez sąd skazany Ale pewien zażywny, dobrej woli sędzia przygodny, tak przejął się swoją rolą, że na przekór wszystkim zawyrokował: "Niewinny!" I koniec — i cóż było robić...

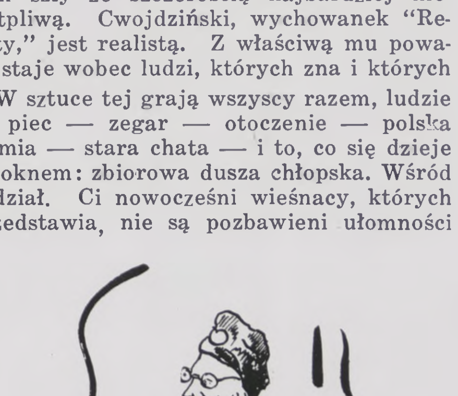
W obecnych czasach nie znajdziemy zapewne widzów tak zapamiętałych, nawet dziecko wie, że teatr jest "na niby," ale mimo to, jakże często szczere łzy widowni i śmiech radosny towarzyszył nam w "Pastorałkach" Były tam momenty, gdzie reakcja publiczności stale odbywała się jednakowo. W tych samych miejscach wybuchy śmiechu i w tych samych — serdeczne "siąkanie." Te łzy, kiedy Modzelewska śpiewała "Po maluśku Józefie..." wiązały nas z publicznością...

Z podróży tych warto byłoby napisać pamiętnik. Sądzę, że pozostaną nam w pamięci na zawsze te nocne wagony, pełne wojska, wesołe śpiewy marynarzy i, wśród nich, zmęczone twarzyczki naszych młodych artystek, dalekie jakieś i smutne. Jedna tylko Kasia, sama mająca syna w wojsku, umiała swobodnie rozmawiać z amerykańskimi chłopcami, którzy nazywali ją, po prostu, "Mom"... Nieraz, ze stacji do teatru było bardzo daleko i bardzo zimno w uchodźczych paltach wiatrem podszytych, a potem ubranej tylko w liście, spłakanej Ewie dopiero od braw robiło się cieplej.

Ogromny sukces moralny "Pastorałki" wzbudził w nas wiarę, że sami — zupełnie sami, bez pomocy urzędowej, z rozpaczliwą odwagą — może jednak podołamy wszelkim trudnościom. Antek Cwojdziński napisał dla nas nową sztukę. Każdy dzień zbliża nas do premjery! Cóż za trema! Bez pieniędzy, nie oglądając się na nic, pracujemy!

Autor i reżyser w jednej osobie czyta pierwszy akt swojej sztuki. Potem przepisuje się role i czyta razem, każdy po kolei. Słowa wpadają jedne w drugie, splatają się i rozplatają, zdania zaczynają żyć, ze słów powstają ludzie, zarysowują się typy, w ciepłem załamaniu brzmienia głosu, ożywa dusza ludzka. Dobra szkoła "Reduty" nie uznaje suflera. Słowa wypowiedziane przez bohaterów muszą być nietylko umiane na pamięć, ale tak związane z postaciami, żeby naprawdę z nich wypływały, z nich szły ze szczerością najbardziej niewątpliwą. Cwojdziński, wychowanek "Reduty," jest realistą. Z właściwą mu powagą staje wobec ludzi, których zna i których

W sztuce tej grają wszyscy razem, ludzie — piec — zegar — otoczenie — polska ziemia — stara chata — i to, co się dzieje za oknem: zbiorowa dusza chłopska. Wśród widział. Ci nowocześni wieśnacy, których przedstawia, nie są pozbawieni ułomności



rys. I Lorentowicz
Katarzyna Ożarzewska

— niema tu ani jednego, idealnie wyposażonego charakteru; postacie są jednoplanowe, a zarysowane tak, że ich niepodobna oderwać od fizycznego tła — od materjalnego otoczenia. I dlatego zarys psychologiczny poszczególnych postaci jest rzeczą drugorzędną. Jest to sztuka o charakterze zespołowym, role opierają się o siebie i niejako wyrastają jedna z drugiej.

W sztuce tej niema intrygi miłosnej, dramat prywatny nie odgrywa żadnej roli. Młode, wiejskie pokolenie, tworzące szarego człowieka Polski Podziemnej, pokazane jest z celowym realizmem — tacy oni byli w Polsce, takich autor oglądał i odmalował. Jest to młodzież z zamożnych stron Żywca, wykształcona, dzielna, świadoma i na wszystko zdecydowana. Tacy walczą na śmierć i życie, robią sabotaż, tworzą partyzanckie oddziały, budują tajne radjo-stacje i przewożą rozkazy.
nich, przybyła zdaleka Polka-Amerykanka, nie rozumiejąca ich początkowo, zespala się później we wspólnej walce. Stare pokolenie reprezentuje babka, według uznanej prawdy absolutnej przywiązana żywiołowo do ziemi — babka która woli spalić chatę niż oddać ją Niemcom. Babka ta malownicza i poetyczna zarazem, jest w sztuce rezonerką — jest chórem greckim: nawraca, konstatuje, tłómaczy... Ona ma głos ostatni i ostatnia schodzi ze sceny w czerwonej łunie pożaru

Sztuka Cwojdzińskiego ukazuje niezłomność walki, która trwa bez przerwy i dlatego wprowadza nastrój wiary i optymizmu.

Premjera zbliża się z każdym dniem...

JERZY TEPA

SABOTAŻYSTA

(OPOWIADANIE)

Pierwsze syreny w Hamburgu odezwały się o godzinie 0.20. W kilka chwil potem odpowiedziała im Altona. Przeciągłemu ponuremu jękowi układającemu się w nie harmonijne akordy towarzyszyły ostre tony gwizdów fabrycznych. W przeciągu minuty kilkanaście hal "Altona-Motorwerke A. G." opustoszało i Bujak został sam, bezmyślnie wpatrzony w brudny stół narzędziowni, połyskujący opiłkami i kawałkami pogiętej blachy.

Było mu wszystko jedno. Noga obcięta pod Kutnem bolała go coraz więcej. Dziwna rzecz: czuł wyraźny ból w palcach, stopie, w kolanie, mimo że od trzech lat te palce, stopę i kolano zastępował mu drewniany kikut protezy; ośrodki nerwowe gdzieś pod czaszką ciągle jeszcze reagowały na ból nieistniejących kończyn. Była to zresztą jedyna reakcja, jaką odczuwał od chwili, kiedy dostał wiadomość o tragicznej śmierci żony. Przez mgnienie oka przeleciały mu wtedy przez pamięć w błyskawicznych skrótach wspomnienia ostatnich lat: bitwa pod Kutnem, operacja w rozwalonej przez bombę szkole wiejskiej, niewola, powrót do Warszawy, "łapanka" na ulicy Marszałkowskiej, pięciodniowa jazda w zaplombowanym wagonie i wręczenie karty pracy z nadrukiem "freiwilliger Arbeitsgenosse." Potem stępiał, zapadł się w siebie, zobojętniał na wszystko, co go otaczało. Pracował z martwym uśmiechem "robota", powoli odmierzonymi ruchami, z mechaniczną prezycją. jaką daje bezmyślność i zupełna pustka duchowa. Po pracy — równie mechanicznie — połykał zupę kartoflaną i walił się na pryczę zapadając w sen. Żył w czwartym wymiarze. Z kamiennego bezwładu nie wyrywały go nawet przekleństwa i groźby szefa sali Winklera, który uwziął się na Bujaka i codzień dręczył go z wyrafinowanym sadyzmem. Kaleka nie zwracał najmniejszej uwagi na zsiniałe z wściekłości policzki dozorcy ani na jego pięści. Raz Winkler kopnął go boleśnie w zdrową nogę. Upadł na twarz i leżał przez chwilę bez ruchu. Potem wstał i wziął do ręki ciężki klucz francuski. Podszedł do Winklera, którego twarz z sinej zrobiła się popielata. Wszyscy zastygli w bezruchu, czekając na uderzenie. Ale Bujak popatrzył na Niemca, kiwnął ręką i obojętnie wrócił do pracy. Od tego czasu Winkler unikał dziwnego ślusarza z Powiśla, z którego twarzy martwej i bez śladów muskułów, wiała niesamowita, trupia groza. Tylko od czasu do czasu przechodząc koło Bujaka rzucał na niego znaczące spojrzenia przekrwionych białek, świadczące wymownie, że walka jeszcze nie skończona.

Salwy artylerji przeciwlotniczej, początkowo krótkie i nerwowe, bijące w chmury nierównemi smagnięciami, przeszły w monotonny, głuchy, niekończący się grzmot. Bujak nie słyszał ani kanonady ani coraz bliższego warkotu nadchodzących Wellingtonów. Nie widział nieba krajanego długiemy pasami reflektorów Siedział wpatrzony tępo w stół narzędziowni i myślał. W mrokach jego podświadomości wytwarzał się nowy jakiś nierealny świat, mieszanina wspomnień fantazji, omamów, podskórnych **odczuć, niedokończonych,** splątanych marzeń.

Widział się na Powiślu w piękny letni wieczór. Żona kładła do snu córeczkę i śpiewała cichym głosem:

A-a-a kotki dwa
Sza-re bu-re o-by-dwa.

W ogrodzie kwitły lipy, ich zapach był ciężki i duszący. Zdaleka dochodził go szum miasta. Ulicą szły pary przytulone do siebie, rozkochane, szczęśliwe beztroskim romantyzmem swych dwudziestu lat. Ktoś się roześmiał. Ktoś inny zagrał na harmonijce ustnej.

A żona śpiewała nieodmiennie:

Pole-ciały do la-su
Na-ro-biły hała-su...

Bujak był szczęśliwy. Patrzał na niebo usłane gwiazdami i krótkiemi pyknięciami wypuszczał dym z fajki. Córeczka, ukołysana monotonną melodją piosenki, usnęła. Żona siadła koło niego i położyła mu gowę na ramieniu. Pomyślał, że to chyba — szczęście. Było mu dobrze...

Nagle poczuł bolesne uderzenie w plecy. Kto to? Przecież siedział z Anną Wstał i zachwiał się, nagle zbudzony ze snu. Zawirowało mu w oczach, zakręciło się djabelskiem, zawrotnem kołem Powiśle, lipy, ulica zakochanych par, zagwizdało w uszach końcową frazą kołysanki — i ujrzał przed sobą siną, apoplektyczną twarz Winklera.

— Was machst du da, Schweinehund?!!

Co? Co takiego? Po jakiemu on do mnie mówi? Skąd ja znam ten język? Czy na Powiślu......?

— Wynoś się do djabła ty polski przybłędo — wołał dalej Winkler po niemiecku.

I Bujak nagle zrozumiał. Że był nalot, że według przepisu winien się był znajdować w schronie, że Winkler był komendantem obrony przeciwlotniczej i miał nad nim kompletną władzę, że za minutę zastrzeli go jak psa.

W tej samej chwili zrozumiał jeszcze coś. Jest Polakiem. Winkler jest Niemcem, napadł na niego w ciepły lipcowy wieczór na Powiślu, zabił mu żonę i odebrał córkę Zbudził się. Popatrzył przed siebie.

Winkler powoli podnosi karabin, celując przez stół. Bujak roześmiał się jakimś wesołym, łobuzerskim śmiechem, nie mając w sobie nic z obłędu. Niemiec podniósł głowę zdziwiony.

Ułamek sekundy wystarczył. Ciężki klucz francuski, ten sam co wtedy, zatacza łuk nad stołem i trafia Niemca w czoło. Karabin wypada mu z rąk, Winkler zachwiał się i oparł o drzwi. Bujak skoczył ku niemu, chwyta go za gardło. Zaczyna się nieprawdopodobna walka, w której jeden atakował z potrójną siłą szaleńca a drugi się nie bronił, zmartwiały, bezwolny jak szmaciana lalka.

Bujak dusił Niemca kurczowym uściskiem obu dłoni a równocześnie z dokładnością sekundnika uderzał jego głowę o żelazne drzwi. Trwało to dłuższy **czas. W** pewnym momencie Winkler zawisł mu na rękach a z wykrzywionych ust buchała krew. Bujak przestał go dusić i odrzucił od siebie martwy kadłub. Wyprostował się, wziął karabin i wyszedł do głównej hali montażowej. W długim, kilkuset yardowym prostokącie widać było kadłuby tylko co wykończonych Messerschmittów. Pod ścianą w podwójnym szeregu stały banie z mieszanką przygotowane na jutrzejszy odlot. Strzelał do nich w regularnych odstępach, mierząc spokojnie i z całą precyzją. Podłoga na której stał, była już wilgotna, zewsząd doleciał go ostry zapach benzyny. Jeszcze jeden strzał, jeszcze dwa.

Bujak nie słyszał gwizdków strażników fabrycznych, nie słyszał kul, które nie mogły go dosięgnąć poprzez kadłuby samolotów i grzęzły w przeciwległej ścianie. Rzucił karabin na ziemię i wyjął zapałki. Rozsypały mu się po podłodze. Nie! Dwie ma jeszcze na ręce! Zapalił je w powietrzu przesyconem duszącą wonią benzyny.

Hala stanęła w ogniu. Bujak już tego nie widział. Ani tego, że tylna ściana hali pękła i słupy ognia zwaliły się na zapasowy hangar reperacyjny. W płonącem ubraniu, ślepy, oszalały z bólu wyciągnął ręce przed siebie i krzyczał:

— To za Annę! Za Powiśle! Za Warszawę! Wasza mać niemiecka!

ZYGMUNT ST. KLINGSLAND

"ARTISTS FOR VICTORY"

(Wystawa współczesnej sztuki amerykań skiej)

Nike Samotrace, nieśmiertelnie piękny symbol zwycięstwa, Nike Samotrace, stojąca przy wejściu do sal i zdobiąca okładkę katalogu, patronuje tej wystawie. Sama wystawa urządzona jest w gmachu Metropolitain Museum, tak po amerykańsku imponującego rozmachem swojej okazałości zewnętrznej i tak umiejętnie wyposażonego w najnowsze udoskonalenia techniki muzeologicznej. Nike Samotrace i Metropolitain Museum — o tem pamiętać należy już choćby dlatego, że... "noblesse oblige": taki gmach a zwłaszcza taka patronka nakładają na artystów pewne obowiązki, wielkie i poważne obowiązki. One też więc stanowić powinny w tym wypadku kryterjum przy ocenie może nietyle wartości jakichś poszczególnych dzieł, ile raczej poziomu i charakteru całej wystawy.

Dwa są zasadnicze pierwiastki składowe każdego dzieła sztuki: treść, w niem zawarta, i forma, która treść tę wyraża. Jakie wspólne cechy ogólne znamionują treść bardzo wielu z pośród wystawionych obrazów?

Małe, niskie, brudne, wykoślawione domki parterowe z porozwieszaną bielizną, błotem na ulicy, ludźmi w łachmanach i bezpańskimi kundlami tworzą bodajże najczęściej powtarzający się motyw kompozycyjny. Różnice w ujęciu tematu są drobne i bez wpływu na wewnętrzny sens całości, a więc szyldy zamiast bielizny, śnieg zamiast błota, szkapa zamiast kundla, baby zamiast dzieci, etc. Inny rodzaj pejzażu miejskiego, który niemniej silnie zdaje się oddziaływać na wyobraźnię malarzy, składa się — wprost odwrotnie — z olbrzymich, przytłaczających, wysokich, okutych metalowymi rusztowaniami budynków fabrycznych, tak szczelnie wypełniających swoimi murami, wagonami czy kominami całą powierzchnię obrazu, że niema już miejsca dla ludzkich postaci. Wszystko jedno wówczas, czy to jest przestronne wnętrze hali maszyn, czy bezkresna perspektywa płaszczyzn z cegły — będzie to zawsze, jako psychiczna reakcja na taką treść kompozycyjną, ten sam ciężar milczącej pustki, ten sam tragizm więziennego bezludzia.

W jednym i drugim wypadku — zarówno tchnące nędzą brudne domki, jak i odrętwiałe w milczeniu gmachy fabryczne—motywy pejzażu miejskiego nacechowane są realistyczną brzydotą, której uderzająca wyrazistość podkreśla wewnętrzny sens obrazu. Podkreśla tem silniej, że artysta, podporządkowując formę plastyczną swojemu założeniu twórczemu, świadomie "prymitywizuje": sprowadza układ kompozycji do najprostszego i najbardziej "czytelnego" schematu, którego nie komplikuje żaden malowniczy szczegół ani literacki anegdotyzm; rysunek traktowany jest graficznie, odgrywając rolę obramowania dużych płaszczyzn kolorowych, osiąganych szerokiemi pociągnięciami pędzla lub szpachli bez gradacji barwnych i bez efektów świetlnych. Rzeczywistość pokazana jest bez omówień i bez upiększeń.

Ta swoista okoliczność nasuwa dalsze refleksje; dlaczego właśnie taka rzeczywistość stanowi treść aż tylu obrazów, dlaczego jest ona z wyjątkowo brutalnym realizmem traktowana, dlaczego na nią reaguje specjalnie mocno wyobraźnia twórcza malarzy? Odpowiedź na to pytanie wymaga przypomnienia dwuch założeń estetycznych. Przedewszystkiem więc, według "teorji środowiska" Taine'a, indywidualność każdego artysty-plastyka kształtuje się pod wpływem kraju, narodu i epoki, inaczej mówiąc, pod wpływem środowiska, w którem on żyje. Druga teorja estetyczna tłómaczy samo powstanie dzieła sztuki, jako podświadomy czy nieświadomy, ale konieczny dla artysty akt wyzwolenia się z wrażenia lub wzruszenia, którego przyczynowem źródłem jest zewnętrzna rzeczywistość. Znane jest powiedzenie potoczne: "Nie mogę otrząsnąć się z wrażenia...". Otóż, artysta "otrząsa się" z wrażenia, dając mu wyraz w postaci dzieła sztuki.

Nie ulega wątpliwości, że w jednym i drugim wypadku malarz wybiera, jako treść dla swojego obrazu, taki fragment rzeczywistości, którego zewnętrzny wygląd o zupełnie specyficznym charakterze, wywołuje u niego uczucie głębokiego smutku, względnie przytłaczającego tragizmu, uczucie do tego stopnia silne, że narzuca mu potrzebę wyzwolenia się z wrażenia przez akt twórczy. Nie ulega również wątpliwości, że ten uczuciowy stosunek do fragmentów rzeczywistości, które najbardziej przykuwają wzrok i uderzają wyobraźnię, posiada na wskroś ujemne cechy: rażą go lub przerażają i brudne dzielnice podmiejskie i olbrzymie bloki fabryczne. Przecież spotykają się pokrewne motywy w obrazach europejskich artystów — w obrazach francuskiego Monet'a, belgijskiego Masereel'a, naszego Gierymskiego i innych ale inaczej wówczas jest taka rzeczywistość pojęta i ujęta: paryski dworzec kolejowy Saint-Lazare tętni ruchem i drga kolorem; odlewnia stali w hucie belgijskiego Liege olśniewa płomieniami i grzmi pracą; galary na Wiśle u brzegów Solca warszawskiego, wyzłocone promieniami zachodzącego słońca, powoli układają się do snu w pogodnej ciszy, ciepłej, jak nucona kołysanka.

Wynika stąd pytanie, będące logiczną konsekwencją wszystkich tych spostrzeżeń i zastrzeżeń. Pierwse pytanie: do jakich wniosków przyjść musiałby europejczyk, gdyby uwzględniając "teorję środowiska" Taine'a usiłował wytworzyć sobie pojęcie o rzeczywistości amerykańskiej na podstawie obrazów takiej treści w ten sposób interpretowanej?! Drugie pytanie: co ma wspólnego większość tych obrazów z "Victory" i Nike Samotrace, patronką tych obrazów i symbolem zwycięstwa?! Rzecki w "Lalce" Prusa wyraża, jako były oficer węgierskiej piechoty, następujący sąd o Matejkowskim "Grunwaldzie": dobry obraz, ale nie należy go pokazywać wojskowym, którzy byli na wojnie. To samo, z drobnemi zmianami, dałoby się powiedzieć o dziełach "Artists for Victory": dobre obrazy, ale nie należy ich pokazywać ludziom, których dogmatem życia jest wiara w zwycięstwo...

Inna jeszcze kwestja zasługuje na omówienie, chociażby jak najpobieżniejsze. Organizatorzy wystawy dysponują znacznymi funduszami, dzięki czemu artyści, których dzieła wyróżnione zostały przez odpowiednie jury w każdej sekcji—malarskiej, rzeźbiarskiej i graficznej jury,—otrzymują kilkutysięczne lub kilkusetne nagrody dolarowe. Otóż w dziale malarstwa, kompozycja Ivan Le Lorraine Allbright'a któremu jury przyznało pierwszą nagrodę, nosi tytuł: "Nie uczyniłem tego, co powinienem był uczynić"—w oryginale: That Which I Should Have Done, I Did Not Do" Z pewnej odległości widziany, obraz ten wygląda jak bardzo długa i dosyć wązka deska prostopadle ustawiona i jednolicie pokryta grubą warstwą niebiesko-stalowej farby. Po bliższem przyjrzeniu się dokładnem, rozróżnić można drzwi, zajmujące absolutnie całą powierzchnię obrazu; noszą one ślady kul i plamy krwi, a pośrodku wisi **bukiet żałobny**; na lewym skraju widać rozwartą dłoń Z tego i tylko z tego składa się zewnętrzna treść obrazu. Wewnętrzny sens jego powinien wyjaśnić tytuł, który jednak jest zbyt niezrozumiały, zwłaszcza w odniesieniu do samej treści. Jeżeli analizować czysto malarskie wartości tego obrazu, należy stwierdzić, że kwiaty są bardzo przyjemne w kolorze i doskonale zgadzają się z niebiesko-stalowym, zimnym tonem drzwi, jako tła. Co jednak skłoniło jury do przyznania temu dziełu pierwszej nagrody w sekcji malarskiej? Przecież chyba nie. . "literatura" tytułu obrazu!

Nagród na wystawie jest tak dużo, a miejsca w "Tygodniku" jest tak mało, że nie sposób omawiać wszystkich obrazów, rzeźb i grawiur wyróżnionych, ale należy uczynić wyjątek dla grafiki Leonarda Pytlaka, ponieważ w tym wypadku jury zarzucić można raczej zbyt surowy sąd, są to bowiem utwory zasługujące może na pierwszą nagrodę w swoim dziale, i ponieważ artysta, wnioskując z brzmienia nazwiska, musi być polskiego pochodzenia, co zresztą przejawia się również i w bardzo swoiście polskiem wyczuciu piękna koloru. A propos polskich artystów na wystawie .. Pewien malarz znajomy twierdzi, że "dobry obraz kiwa na widza ze ściany i zmusza go do zatrzymania się." Widocznie jednak ta bardzo trafna uwaga nie stosuje się do każdego widza, dlaczego bowiem jury nie spostrzegło jak wyraźnie "kiwa" na sędziów "A Native Melody" Zygmunta Menkesa?! Przecież ta młoda postać, utrzymana w ciepłej gamie typowo Menkesowskiego kolorytu, rozbrzmiewa tak piękną melodją barw, że jest jedynym bodaj obrazem w całej i wielkiej sali, rzeczywiście zmuszającym widza do zatrzymania się!

Ostatnia reflekcja: tyle razy zastanawialiśmy się w Paryżu nad artystycznym charakterem, a nawet wogóle nad racją bytu nazwy "Ecole de Paris," jako pewnego kierunku w malarstwie. Staranniejsze wszakże obejrzenie takiej wystawy, charakteru właśnie "Artists for Victory," przekonywuje że "Ecole de Paris" faktycznie istnieje w... Ameryce, jako daleki oddźwięk przedwojennego Montparnasse'u.

Potraktowanie **rzeźby** w tym artykule po macoszemu jest o tyle jeszcze niesłuszne, że przeciętny jej poziom artystyczny — jeżeli mieć na względzie wartości formy — stoi niewątpliwie wyżej od poziomu malarstwa i grafiki. Sądząc z wystawionych dzieł, amerykańscy artyści odznaczają się poczuciem monumentalności w rzeźbie, unikając bezkrytycznego "archaizowania" czy "klasycyzowania," wykazują duże zrozumienie plastycznych właściwości materjału, w którym prace swoje wykuwają czy odlewają, i bardzo trafnie posługują się dekoracyjnymi pierwiastkami rzeźby, jako części składowej piękna architektonicznego.

Na zakończenie jeszcze jedna cytata z "Lalki" Prusa — drobna scena z życia snobistycznego high-life'u warszawskiego, kiedy do salonu panny Izabeli Łęckiej wchodzą panowie Rydzewski i Pieczarkiewicz. Ten ostatni zakomunikował, że "najwykwintniejsze przyjęcia w tym poście są u państwa Rzerzuchowskich. "Coś zachwycającego, coś oryginalnego! powiadam pani — mówił. Kolacja, rozumie się, jak zwykle: ostrygi, homary, ryby, zwierzyna, ale na zakończenie dla amatorów, wie pani co?.. Kasza!... Tatarczana... Coś cudownego, coś bajecznego!... Formalnie zajadamy się nią: ja, książe Kiełbik, hrabia Śledziński... Podaje się zwyczajnie, na srebrnych półmiskach... Panna Izabela z zachwytem patrzyła na mówiącego...".

Otóż, całe towarzystwo to, w najnowszej edycji amerykańskiej, spotkać można było na wystawie "Artists for Victory": patrzyło z zachwytem, pożerając wzrokiem obrazy, przedstawiające brudne dzielnice podmiejskie, obrazy, porozwieszane w okazałych salach wspaniałego Metropolitain Museum obok Rembrandtów, Wouwermanów, Breughelów, etc. I to było dla nowojorskich snobów tak samo "very exciting!", jak tatarczana kasza na srebrnych półmiskach dla panny Izabeli Łęckiej i dla pana Pieczarkiewicza.

W POPRZEDNIM (8-ym) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Jan Lechoń: Opinje Królowej Wiktorji; Czesław Chowaniec: Europa, paradoks ludzkości; Zofja Bohdanowiczowa: Tęsknota, Spotkanie; Gustaw Bychowski: Duchowe oblicze hitleryzmu (Analiza niemieckiego charakteru nawiedź Walterowi Lippmanowi; Zenon Kosidowski: Polskie książki w obcych językach; Konstanty Symonolowicz: "Historja Polski" Haleckiego; Nowe polonica w New York Public Library; Opinje i zdarzenia.

OPINJE I ZDARZENIA

* * *

Naród Polski, który pierwszy oparł się Hitlerowi i zapłacił za to męczeństwem jakiego żaden inny nie doświadcza, który jeden jedyny w ujarzmionej Europie odmówił wszelkiej współpracy z Niemcami i codziennie śmiercią najlepszych swych synów okupuje tę nieugiętość — stoi dziś w ogniu niebywałego ataku Rosji sowieckiej, godzącego zarówno w najświętsze nasze prawa do naszej ziemi jak i w nieposzlakowane bohaterskie imię Polski.

Atak skierowany przeciw Polsce jest atakiem na wspólną sprawę i na solidarność Narodów Zjednoczonych. Dla jedności tej Polska poniosła niezliczone ofiary. Z wielkodusznością nieznaną w historji szukała pojednania z Rosją, pomimo napadu Rosji dokonanego na nią w porozumieniu z Niemcami, mimo porwania miljonów Polaków, Żydów, Ukraińców, i Białorusinów, obywateli Rzeczypospolitej i ich męczeństwa w obozach koncentracyjnych i więzieniach.

Całość i niepodległość Polski, sława jej bohaterstwa i cierpienia, waga jej poświęceń dla jedności sprzymierzeńczej są częścią dobra moralnego, o które walczą Aljanci. Kto w to dobro godzi, godzi w narody sprzymierzone, w ich siłę i w skuteczność zwycięstwa.

Dlatego Polacy, zjednoczeni i gotowi do wszelkich poświęceń, domagają się od swych Wielkich Sprzymierzeńców, na których sumieniu leży przyszłość wolnego świata, aby stanęli nietylko w obronie Polski, lecz również w obronie wspólnej sprawy.

STALAG XVII A

W księgarni francuskiej w New Yorku ukazała się niedawno książka Constantin Joffe p. t. "Les enterres vivant du Stalag XVII A." W krótkiej przedmowie Louis Bromfield przyznaje jej pierwsze miejsce w literaturze wojennej doby obecnej, zaś Jacques Maritain, w słowie wstępnem, poprzedzającem odczyt p. Joffe, który się odbył dn. 23-go lutego z inicjatywy French Relief Committee — nazywa ją książką zrodzoną z potrzeby serca i szlachetnej litości dla ofiar prześladowania. "Szkoda tylko — dodaje — że, pod zarzutem zbyt jaskrawego realizmu, usunięto z niej niektóre ustępy. Nie zasługujemy na takie oszczędzanie naszej wrażliwości, zwłaszcza jeżeli chodzi o spis faktów, które tam dla nich są chlebem powszednim"

Constantin Joffe nie jest zawodowym pisarzem. Nie jest też Francuzem, choć włada tym językiem doskonale — ale wychowanym we Francji synem Rosjanina i Polki. Z początkiem wojny wstąpił jako ochotnik do Legjonu Cudzoziemców, rekrutującego się w dużej mierze ze zbiegłych ofiar nazistowskiego regimu — i mimo zaciętego oporu, stawianego przez jego pułk w krwawych walkach nad Sommą — dostał się wraz z innymi do niewoli dn. 6 czerwca 39 roku Spędził blisko dwa lata w obozie jeńców w Austrji, poczem, naskutek przewlekłej choroby, został uwolniony Istotnym motywem owej "litości" niemieckiej było hasło "niech zdychają u siebie." Spośród 1,800,000 jeńców, 300,000 najciężej chorych i rannych odesłano wówczas do Francji.

Przejdźmy teraz do samego odczytu, którego treść postaram się oddać tu w skróceniu. Jest to szereg obrazów, związanych z pobytem p. Joffe w niewoli niemieckiej. (w tym samym obozie znajduje się dotąd kilka tysięcy Polaków). Temat dla czytelników nie nowy, ale czyż można pisać zadużo o ludziach, których słusznie autor nazwał "pogrzebanymi za życia," i których największą troską jest, że świat o nich zapomni? — Zaznaczyć tu jeszcze pragnę, że po skończonym odczycie p. Joffe zwrócił się do pań delegatek Polish Woman's Relief Committee, wyrażając im uznanie za ich pracę dla jeńców oraz dla zbliżenia polsko-francuskiego.

"W upalne dnie czerwcowe, w ponurem milczeniu posuwał się zwolna wielo-tysięczny korowód jeńców po opustoszałych drogach północnej Francji. Przyglądała się im milcząca ludność, usiłując rozpoznać w nich swych bliskich. Nagle rozdzierający krzyk przerwał ciszę: stojąca w tłumie kobieta dostrzegła swego męża. Ale niedługo trwał ich uścisk: bagnet pchnął mężczyznę, brutalna ręka odtrąciła kobietę.

W zamkniętych szczelnie towarowych wagonach wieziono ich, stłoczonych w kurzu i brudzie, przez kilka dni. A gdy, trawieni pragnieniem i gorączką wyszli i niewidzący, oślepieni nagłym blaskiem, błagali o wodę — pozwolono im pić wodę z mydlinami, w której na ich oczach chlapali się żołnierze niemieccy. Padający ze zmęczenia, ranni, wspinać się musieli pod stromą górę — w śmiechu urągania wyrywano im kije, którémi się podpierali — "niech zdychają jak psy."

Stalag XVII A Kaisersteinbruch 35 klm. od Wiednia. Zewsząd druty kolczaste, po kilka rzędów. I karabiny maszynowe. 90,000 ludzi wszelkich narodowości, religji i ras, wczoraj jeszcze wolni, dziś zaszczuta trzoda. Baraków trzy, mogących zaledwie niewielką część pomieścić, reszta śpi na polu. Straszliwa samotność i dojmujący głód, walka o każdy kęs nędznej strawy. Porcja dzienna: kubek kawy z palonych żołędzi, dwa razy "zupa" z nieobranych gnijących kartofli, z solą lub bez i trochę margaryny i 200 gramów chleba.

Ograbieni ze wszelkiej własności, wyjęci spod wszelkich praw, pogrzebani żywcem — żyją. Jak? Poco? Z przyzwyczajenia chyba.

Niedługo cała trawa na terenie obozu zostaje wyjedzona, nawet niższe gałęzie drzew. O obgryzione skórki chleba wyrzucane przez żołdactwo niemieckie ludzie biją się jak zwierzęta. W pierwszych tygodniach każdemu ubywa 15-30 kilo.

Czas przechodzi. Jeniec żyje — z przyzwyczajenia — i cierpienie głodu schodzi na dalszy plan wobec potrzeby wyjścia z okrutnej samotności. Człowiek przestaje być człowiekowi wilkiem, staje się przyjacielem. Pojęcie: Hiszpanja, Polska, Jugosławja, nie jest już tylko w wyobraźni kolorową plamą na mapie, staje się realnością. Tu oto są wszyscy razem, ci z południa i ci z północy, zepchnięci na dno nieszczęścia, zjednoczeni we wspólnej nienawiści do Niemców. Solidarność staje się nakazem serca, braterstwo przenika w każdą dziedzinę życia. Wszystko jest przedmiotem podziału: paczka, list, sny, wspomnienia. Paczkę ogląda **tysiąc oczu**, nim się ją otwiera i zgaduje jej **zawartość**, —przesyłka z Ameryki przyjmowana jest niemal jak wydarzenie polityczne, message z kraju, który nadal toczy walkę o wolność. List umiany na pamięć przekazuje sobie nabożnie tysiąc par rąk. Czasem dostarcza on przemycane między wierszami wiadomości polityczne, czasem donosi tylko, że w domu zdrowi, i tysiąc ludzi kładzie się tej nocy spać spokojnych o losy rodziny.

Więźniowie wysyłani są na przymusowe roboty wszędzie gdzie brak robotników rolnych lub fabrycznych. Chorych lub tych, którzy pracę skończyli, odsyła się z powrotem do obozu. Zmianę tę przyjmują chętnie, bo wyżywienie bywa nieraz lepsze, a także jest to ucieczką od straszliwej monotonji obozowego życia. Czasem warunki ich są znośniejsze: lepsze, gdy pracując na roli, jadają z rodziną gospodarza — gorsze, gdy wykluczeni z grona innych pracowników żywieni są dosłownie pomyjami. Dzień roboczy w najgorętszym sezonie zaczyna się o 5-ej rano, kończy o 9-ej wieczór. Wypłacają im 72 fenigi dziennie specjalną monetą, nie mającą żadnego kursu i którą jedynie używać mogą, po powrocie do obozu, na kupno szczotek do zębów i żyletek. Można te pieniądze składać a po zwolnieniu rozliczają się z jeńcem władze francuskie, które tem samem pokrywają ze swej kieszeni ową dodatkową hojność niemiecką. Do najcięższych robót należy budowanie dróg i praca w kopalni, stanowiące nieraz prawdziwą katorgę. Bywają też roboty, wymyślone li tylko przez sadyzm. W grudniu 40 roku n. p przy 28 stopniach mrozu, kazano jeńcom wyciągać kamienie z rwącego górskiego potoku. Oczywiście bez odpowiedniego ekwipunku, w drewnianych chodakach, z gołemi rękami. Spośród 40 ludzi, których do tej roboty przydzielono, pięciu zmarło na miejscu, piętnastu wróciło do obozu, reszta zapełniła szpitale z ciężkiem zapaleniem płuc.

Niemcy miewają i "ludzkie" odruchy. Tak naprzykład pewnego dnia przetrzymawszy jeńców na parogodzinnej zbiórce na baczność — jak to jest we zwyczaju — zarządzili rozdawnictwo żywności. Na stołach piętrzyły się stosy chleba, wędliny i sera. Nieufnym ale oszołomionym nadzieją zaspokojenia wreszcie głodu — podawano w drżące ręce ów przedmiot najwyższego pożądania. Kamery fotograficzne pracowały cały czas. Styłu ręce żołdaka niemieckiego odbierały chleb, wędlinę i ser.

Specjalnie okrutnemu traktowaniu poddani są Żydzi. Upokarzani moralnie w sposób najbardziej upadlający, dręczeni nieludzkiemi ćwiczeniami fizycznemi, używani są przez Niemców jako czynnik propagandy politycznej, symbol winy za całą tę wojnę.

Jad polityczny sączy się też przez obozowe gazety, każda okazja jest dobra dla poniżenia ludzkiej godności, rozwinięcia kompleksu niższości, który ma tu teren niezwykle podatny.

Ale jeńcy się nie dają. Organizują się sami tysiącem przemyślnych sposobów dochodzą do utrzymywania i rozpowszechniania prawdziwych wiadomości ze świata — podtrzymują wzajemnie wolę wytrwania, pragnienie walki. Są zwarci w prawdziwym oporze, w chęci przetrwania I przetrwają.

F. Lilpop Krancowa



WITOŁD MAŁCUŻYŃSKI
świetny pianista polski, odbywa podróż artystyczną po Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Ameryce Południowej.

POLSKI TEATR ARTYSTÓW przystąpił już do przygotowania następnej sztuki. Powodzenie "Betleem w Polsce" dało dowód, iż Polonja pragnie dobrego, artystycznego teatru. To też artyści nasi z podwójną energją pracują teraz nad nową sztuką Antoniego Cwojdzińskiego, której niezwykły i drogi każdmu polskiemu sercu temat zapewni jej zainteresowaanie najszerszych mas Polonji Amerykańskej. Sztuka Antoniego Cwojdzińskiego nosi tytuł "Polska Podziemna", a występujące w niej postacie, to lud polski, niepokonany przez najeźdcę, to bohaterscy bojownicy o wolność, to żołnierze walczący na najtrudniejszym odcinku frontu, bo tam, gdzie rządzi Gestapo.

Nad sztuką tą pracuje już z niezwykłym zapałem cały zespół Polskiego Teatru Artystów, którego szczupłe grono powiększyła niedawno przybyła z Londynu Irena Popielska. Ujrzycie więc wszystkich swoich ulubieńców, a także i Irenę Popielską, która niewątpliwie zdobędzie sobie serca Polonji, odtwarzając w "Polsce Podziemnej" Polkę-Amerykankę. Strona reżyserska spoczywa w rękach samego autora, a dekoracjami zajęła się Irena Lorentowicz, którą Polonja miała już czas poznać i ocenić.

LISTY DO REDAKCJI

Szanowna Redakcjo,

Witając nowopowstałe pismo, zamawiam niniejszem 12-ście rocznych prenumerat. Jeden egzemplarz proszę wysyłać pod moim adresem, a resztę dla naszych żołnierzy polskich, pełniących służbę poza oceanami. Niech mają możność czytania dobrego pisma polskiego.

K. Leoniak
New York, N. Y

Szanowna Redakcjo,

"Tygodnik Polski" przedstawia się wspaniale pod każdym względem i zasługuje na poparcie Polonji Amerykańskiej Życzę Panom pomyślnego rozwoju.

Stefanja Dobierz
Detroit, Mich.

Szanowna Redakcjo,

Pragnę powinszować Panom świetnie redagowanego "Tygodnika" który w obozie lotniczym, gdzie odbywam służbę wojskową, jest dla mnie obecnie jedynym łącznikiem z Polską i polskością.

Pvt. Edward Tejw
Mc Dill Field, Fla.

Szanowna Redakcjo,

Przeglądając tygodnik "Ameryka-Echo," który mój kolega wojskowy, też Polak, otrzymuje, zauważyłem notatkę o ukazaniu się w Nowym Yorku nowego pisma p. t. "Tygodnik Polski." Przesyłam w załączeniu 30 ct. na numery okazowe. Przyjemnie mi będzie przejrzeć wartościowe pismo i dowiedzieć się coś o Polsce, jej sprawach i Polakach rozsypanych po całym świecie, choć coprawda niewiele mam tu wolnego czasu zostaje, bo mamy teraz duże manewry.

Przesyłam "Tygodnikowi Polskiemu" życzenia rozwoju. Niech idzie prostą drogą do wolnej i sprawiedliwej dla wszystkich Polski.

P. f. c. John Osieja
Shreveport, Louisiana

Odpowedzi redakcji

K. Mar., Garden, Cal. Wysyłamy egzemplarze okazowe. Prenumerata roczna wynosi $4.50. Dziękujemy za życzliwość.

Siostra M. El., Torresdale, Pa. Adres zmieniliśmy. Serdecznie dziękujemy za łaskawe słowa i poparcie. Do nowych prenumeratorów pismo wysyłamy

W Kam., South Boston, Mass., Otrzymaliśmy, dziękujemy, wysyłamy

J. B., St. Edward, Kanada. Wysyłamy numery okazowe.

E. Ger., Rochester, N. Y. Prenumerata miesięczna wynosi 40 centów. Wysyłamy

T. Zl. Brooklyn, N. Y. Rocznie $4.50 Wysyłamy.

J. Sk. Indian Archard, Mass. Dziękujemy za życzliwość. Wysyłamy.

P. Kr., Cohoke, Va. Wysyłamy numery okazowe Rocznie $4.50.

Ks. J. O., Inglis, Man. Kanada. Dziękujemy za list i zainteresowanie. Wysyłamy według życzenia.

J. Kap. Uniontown, Pa. Wysłaliśmy Nr. 6. Dziękujemy.

J. Bot., Toronto ,Ont. Kanada. Oczywiście. Wysyłamy. W sprawie książki radzimy zwrócić się do Polish Book Importing Co , 38 Union Square New York, N. Y. Miło nam byłoby utrzymać z Panem kontakt.

Ks. M. A. Sz., St. Louis Mo. Dziękujemy za uwagi. Myślimy, jakby temu zaradzić.

St. Dan, Los Angeles, Calif. Wysyłamy ponownie 3 i 4 numer. Spodziewamy się że więcej niedokładności nie będzie Dziękujemy.

J. Piot., Montreal, Kanada. Wysłaliśmy ponownie 3 i 4 numer. Dlaczego nie doszły przedtem, nie wiemy. Irena Lorentowicz: 41-65 76 St. Jackson Heights, N. Y. Jan Walczak: 151 East 67th St. New York, N. Y. W Kanadzie przebywa Rafał Malczewski 335 Chapel St., Ottawa, Ont.

Chcę kupić lub wypożyczyć podręcznik chemji dla szkół wyższych. Proszę o podanie ceny kupna albo miesięcznego wynagrodzenia za wypożyczenie pod adresem: Box 149, Stevens Point, Wis.

DO CZYTELNIKÓW:

Załączając okazowy numer "Tygodnika Polskiego", prosimy Sz. P., jeżeli pragnie zaabonować nasze pismo, o łaskawe wypełnienie poniższej deklaracji i przesłanie jej pod adresem: "Polish Weekly", 806 Lexington Ave., New York.

Niżej podpisany zgłasza mies., kwartalną, półroczną, roczną prenumeratę "Tygodnika Polskiego".

Należność w wysokości .... załączam czekiem, przekazem pocztowym

Dnia ....

....
Imię i nazwisko (wyraźnie)

....
Ulica

....
Miasto i Stan.

WHOM — 1480
POLSKIE PROGRAMY RADJOWE

B. Rosalak — 11.45 do 12.30
K. Jarzębowski — 12.30 do 1.30
L. Sobolewska — 4.00 do 4.30
H. Cieciuch — 4:30 do 5.00
Druh Doradca — 5.15 do 5.30
(wtorki, czwartki i soboty)
M. Kęcki — 5.00 do 6.00

W NIEDZIELE:
K. Jarzębowski — 2.00 do 3-ej pp.
Wiadomości — 3.00 do 3.15
N. Leśniewska — 3.45 do 4.00
M. Kęcki — 3.15 do 5.00
Ojciec Justyn — 5.00 do 6.00
H. Cieciuch — 6.00 do 7ej.
Programami polskimi kieruje dyrektor Karol Sobolewski

STACJA WBNX — 1380

"Polskie Dzwony Ochrymowiczów", 260 E. 161st Street, Bronx, N. Y. (Room 312) Telefon: MElrose 5-6554. Program codzienny Polskich Dzwonów o godzinie 12-ej w południe, z wyjątkiem niedziel.

W przemyśle wojennym Ameryki jest gwarancja zwycięstwa

Na naszym froncie gospodarczym, w naszych fabrykach, stoczniach i warsztatach odnieśliśmy wielkie zwycięstwo.

Z dnia na dzień rośnie wojenna produkcja Ameryki, wzrasta potęga sił zbrojnych Zjednoczonych Narodów.

Amerykanie polskiego pochodzenia złożyli dowody, że są godnymi synami swej drugiej ojczyzny Ameryki.

Na linjach frontów, przy warsztatach pracy Amerykanie polskiego pochodzenia kierują się jedynie myślą, pragną przyśpieszyć zwycięstwo Ameryki i wyzwolene Polski.

Zwiększajmy wydajność naszej pracy. Nie marnujmy cennego czasu. Oddajmy wszystkie nasze wysiłki Ameryce i Polsce.

L. W. S.
New York City

Wysiłek wszystkich lojalnych Amerykanów, niezależnie od ich pochodzenia, skierowany jest ku przyspieszeniu zwycięstwa Ameryki.

* * *

Tylko wspólnemi siłami przywrócony będzie trwały pokój na świecie.

* * *

W walce o lepsze jutro Stanow Zjednoczonych i Polski walczą Amerykanie polskiego pochodzenia.

* * *

Niesiemy im pomoc na froncie domowym — w naszych fabrykach i w naszem codziennem życiu.

* * *

TYGODNIK POLSKI
POLISH WEEKLY

Redakcja i administracja:
806 Lexington Ave., New York City
Tel.: Regent: 7-4168

Wydawcy: Koło Pisarzy z Polski. Association of Writers from Poland.

Komitet redakcyjny: Zenon Kosidowski, Jan Lechoń, Kazimierz Wierzyński, Józef Wittlin.

Prenumerata: mies. 40 cts — **kwart.** $1.20 — półr. $2.40 — roczn. **$4.50.**

W sprawie ogłoszeń prosimy porozumieć się z administracją.